

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1869.

Tom czwarty.



WARSZAWA.

Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

1869.

De. II. 1.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 17 (29) września 1869 r.

Cenzor, J. Błeszczyński.



K. 35/46

W drukarni Gazety Polskiej.

DZIEJE IDEAŁU.

POWIEŚĆ

Jana Zacharyasiewicza.

(Dokończenie).

LIV.

STEFAN DO NIEZNAJOMEGO.

Koniec sierpnia.

Drogi przyjacielu! Dwa listy twoje leżą przedemną, na które dotąd ci nie odpowiedziałem. Pojmuję twoją ciekawość, która płynie z przywiązania. Byłbym téj ciekawości dawno zadość uczynił, gdyby nie szkaradny przypadek który na sześć tygodni położył mnie do łóżka...

Pisałem ci w ostatnim liście, że gotuję się na ważny krok... Otóż krok uczyniłem, ale krok który mnie przywiązał do łóżka na długie sześć tygodni, a o którym dzisiaj nie wiem, czy był szczęśliwy dla mnie czy nie, pomimo, że mnie o mało życia nie pozbawił!

Dzisiaj po raz pierwszy dopiero mogę wziąć z wielką biędą pióro do ręki, chociaż z pokoju wcale jeszcze wychodzić nie mogę. I tak zakazał mi lekarz wszelkiej żywszej alteracyi. Powoli więc opiszę ci rzecz całą.

Bóg widzi, nie wiem od czego zacząć. Tyle myśli, tyle rzeczy ciśnie mi się naraz do głowy. A przecież dla ciebie muszę się trzymać porządku chronologicznego, bo inaczej nie zrozumiesz mnie.

Mówiłem ci już, że często robiliśmy wycieczki w okolice miasta. Obejrzawszy już wszystkie wdzięki saskiej sto-

licy, chcieliśmy się zapoznać z dalszemi okolicami, o których wiesz że słyną w Europie ze swoich nadzwyczajnych piękności.

Otóż zwiedziliśmy już kolejną różną punktą tej okolicy. Wreszcie zamierzaliśmy zwiedzić okolice Kenigsteinu, najznakomitszej fortecy saskiej, która w czasach wojennych kryje w swoich murach skarby królewskie. Jestto okolica dosyć dzika i ponuro-romantyczna.

Podróż naszą ułożyliśmy w ten sposób, aby nie odrazu zdążyć do celu. Podzieliliśmy tę drogę na różne stacye, wcale jednak nie odpowiednie owym urzędowym stacyom, wytkniętym z góry dla turystów. Chcieliśmy po prostu sami sobie szukać drogi do naszego celu. W ten sposób stała się podróż nasza więcej romantyczna i rozmaitemi przepełniona przygodami. Często bowiem straciliśmy kierunek, często potrzeba było się wracać, rekognoskować drogi i wioski, starać się o żywność i t. p. konieczne akcesorya życia. Było więc ciągłe natężenie uwagi, była niepewność najbliższego zagięcia drogi, słowem była nader przyjemna, urozmaicona, romantyczna wycieczka.

Wszystkich naszych przygód nie będę ci opisywał, bo te nie wyświecają rzeczy do której dążę; dotknę tylko niektórych szczegółów, które są konieczne potrzebne.

Towarzystwo nasze składało się z trzynastu osób, liczby zawsze fatalnej. Aby tę liczbę zamaskować, a więcej dla miłego spokoju pani marszałkowej, namówiliśmy zaraz za miastem wracającego do domu górnika, aby razem z nami tę promenadę odbył. Górnik zgodził się chętnie, widząc nas wszystkich wesołych i w zapasy żywności i kordyałów dosyć dobrze zaopatrzonych. Wyszczególniał on się tém jeszcze, że oprócz podziemnego jakiegoś lochu za Tarendt'em w którym pracował, nic a nic swojej błogosławionej ojczyzny nie znał. Człowiek ten podziemny bawił nas wielce swoją naiwnością. Wiele, wcale nowych rzeczy opowiadaliśmy mu o jego ziemi.

W towarzystwie naszym byli prawie wszyscy nasi znajomi. Naturalnie był i pan Alfred, który od niejakiego czasu stara się ustawicznie być w pobliżu Jowity, chociaż ona mu nie okazuje bynajmniej wiele sympatyj. Była i panna Natalia jak zawsze, wesoła, szczebiotliwa i nadzwyczaj przyjacielska.

Otóż gdy kalwakata nasza długim parowem postępowała, a niektórzy piechotą za furgonami dążyli, zbliżyła się do mnie panna Natalia i zawiązała ze mną jakąś zwyczajną rozmowę. Powoli zaczęła nieco w tyle zostawać tak, żeśmy się odłączyli od naszego towarzystwa: wtedy zmieniła nagle przedmiot naszej rozmowy.

— Czy pan nie pomyślałeś — ozwała się — o fatalnej naszej liczbie?

— O jakiej liczbie? — zapytałem prawie bez myśli.

— Że nas jest trzynaście! — odparła krótko.

Rozśmieszył mnie ten przesąd. Przypomniałem sobie, że pani marszałkowa miała z sobą pieska, o którym nieraz mawiała, że go więcej ceni niżeli człowieka, bo jest i pocziwszy i mędrszy od lokaja Onufrego. Powiedziałem więc panie Natalii, że „*lami*” może według wyobrażeń pani marszałkowej tworzyć czternastą osobę, dodawszy jeszcze do niego górnik, o którym i tak powiedział pan Nereusz, że jakkolwiek mądrym może być pod ziemią, na ziemi jednak jest strasznie głupim!

— Pan obracasz w żart moje słowa — rzekła na to panna Natalia — a ja chciałam z panem na seryo mówić.

Słowa te i niezwykła powaga w jej rysach uderzyła mnie. Zwróciłem się do niej i z równą powagą odpowiedziałem:

— Jeżeli pani poza tą fatalną liczbą chcesz mi o czémś mówić, to słucham z jak największą uwagą!

— Daruj pan — odparła — ale ja nie mogę jakoś oderwać się od tej liczby!

— Dobrze — niechże więc i ta liczba będzie między nami!

— Pan z takim lekceważeniem mówisz o tej liczbie, a przecież opowiada pani marszałkowa, że ś. p. jej mąż...

— Słyszałem już tę wyborną historią: opowiadała ją nam raz jednego sama pani marszałkowa.

— Więc sam pan przyznaj, że jeśli się jest w takim towarzystwie, gdzie ta liczba dominuje, to mimowoli czyni człowiek rachunek z swoim sumieniem...

— Czy pani stosujesz do mnie te słowa, jako do zatwardziałego grzesznika?

— Niekoniecznie... wyjąwszy jeśli się pan do czego poczuwasz.

— A cóż nam wreszcie ta „dominująca liczba” uczynić może, gdyby nawet ktoś miał co na sumieniu swoim?

— Ta liczba w każdym razie oznacza, że jeden jest za wiele!

— Cóż pani rozumie pod tém słowem „za wiele”?

— Różnie można rozumieć. Gdy naprzykład dwóch idzie przez wąską kładkę i w środku spotkają się. Oczywiście, że na tak wąską przestrzeń dwóch jest za wiele. Jeden z nich musi się cofnąć, albo w przepaść skoczyć.

Spojrzałem z uwagą w twarz panny Natalii, bo téj ciemnej nieco alluzji zacząłem się domyslać. Twarz jednak panny Natalii była tak obojętna i nic nie mówiąca, jak twarz najwytrawniejszego dyplomaty. Udałem również obojętność i rzekłem bez wszelkiego domysłu napozór:

— A więc dobrze, to niech jeden w przepaść skacze, jeżeli mu tam pilno!

— Czy innego sposobu na to pan nie wie? Czyż nie można, aby ci ludzie spotkawszy się na środku kładki podali sobie ręce i porozumieli się po przyjacielsku, który z nich ma większe prawo i większe prawdopodobieństwo przejścia na drugą stronę. A tak jedenby ustąpił drugiemu, i żaden nie potrzebowałby w przepaść skakać!

— Nie, pani, na tobym się nie zgodził nigdy. W takim razie nie ma kompromisu!.. Zresztą, jeśli jeden widział drugiego już na kładce, po cóż wchodził na nią?

— Nie zawsze ludzie rządzą się rozumem i roztropnością. Ale na środku kładki trzeba koniecznie zapukać do roztropności...

Przerwałem jój z uśmiechem żartobliwym:

— Nie, pani! Na środku kładki do roztropności pukać za późno... A zresztą, gdyby ktoś nie chciał w przepaść skoczyć, to liczba „trzyście” straciłaby całą fatalność swoją!..

Nie wiedziałem, że właśnie w téj chwili wymówiłem słowa, które za kilka godzin okropnie sprawdzić się miały!... Panna Natalia patrzyła na mnie jak dyplomata, któremu misja nie powiodła się.

Rozmowę dalszą przzerwano nam.

Odbywaliśmy dalszą podróż naszą z różnemi drobnemi przygodami! Tu nastraszyliśmy stadko baranów, tam znowu barany nas przestraszyły. W jednej wsi uciekaliśmy od psów odważnych, w innej psy od nas uciekały. I tak z odmienném szczęściem walczyliśmy z przeszkodami naszej romantycznej wędrówki.

Już sporo po południu dotarliśmy do jednego z owych olbrzymich kamieniołomów, z których powstają olbrzymie budowy stolicy saskiej. Kamieniołomy te są nadzwyczaj praktycznie urządzone. Najczęściej wybiera się na to spadzisty brzeg Elby. Olbrzymie bryły kamienia, oderwane sztuką i pracą od zeber brzeżnych rzeki, zsuwają się lekko po pochyłości aż na sam statek. Tym sposobem nader małym kosztem pracy i kapitału płyną te ogromne masy wodą do miasta i tam ustawiają się w pyszne gmachy!

Otóż w takim kamieniołomie rozbiliśmy nasz obóz. Ponieważ słońce dobrze już przypiekało, wybraliśmy na to miejsce pod kilkoma świerkami, które wydawały się jakby strącone z lasu nad nami górującego.

Nadzwyczaj romantycznie wyglądała nasza zielona oaza śród szarego tła kamienistego pokładu. Jeden z tych świerków wtłoczył po wilgoć korzenie swoje w rozpadlinę skały, a nie znalazłszy jęj przebił w kierunku poziomym bryłę kamienia trzysąźniową i tam na świat się wydobył. Spalone skwarem słońca sterczały z téj rozpadliny daleko korzenie jego i tworzyły poniżej samego pnia, jakby drugie ale bezlistne drzewo.

Konary te wisały nad głęboką przepaścią, z której prawdopodobnie kilkadziesiąt kamienic wyszło i uszykowało się na jednej z ulic stolicy.

Uradziliśmy przyrzadzić sobie herbatę; porzeba więc było ogień rozniecić. Rzuciliśmy się wszyscy za połowem i zbieraliśmy to suche gałęzie, to kawałki zostawionych tu drzazek z jakiegóś roboty ciesielskiej.

Kilka razy tentowały nas te suche, sterczące konary; ale każdy podszedłszy blisko, wracał się z pewną rezygnacją: w samęj rzeczy przepaść była zastraszająca.

Wreszcie przyrządzono herbatę, rozdano kubki i zakąszano czém było.

Po herbacie, przy cygarze rozpoczęła się nadzwyczaj ożywiona rozmowa.

Zaczęto między innemi mówić o kobietach w dawniejszych wiekach.

— Dziwna rzecz—mówił pan Nereusz—że serce kobiecie miało zawsze coś tygrysięgo. Weźmy na przykład czasy Rzymu. Kapłanki pielęgnujące wieczny ogień, symbol miłości, patrzyły z kamiennych ławek swoich w cyrku z najwyższém zadowoleniem na walkę ludzi z dzikimi zwierzętami! Ich białe rączki, wysunione z pod białej tuniki, przyklaskiwały radośnie na widok krwi, z którą upływało życie zwyciężonego gladyatora!..

— Ależ to były poganki—zauważyła Natalia.

Jowita nic na to nie odpowiadała. Patrzała przed siebie zamyślona, jakby udziału w rozmowie brać nie chciała. Czasami tylko uśmiechnęła się, jakby do przyjemnych myśli swoich.

— Ja myślę—odparł pan Nereusz—że wieki nie zmieniły charakteru tego dziwnego serca. Tylko igrzyska cyrkowe zamieniono na igrzyska buduaru! Tam odbywają się walki, morderstwa... przy których jednak nie widać ani krwi ani miecza gladyatorskiego!..

— Mój Boże!—zawołała żywo panna Natalia—co też pan mówisz za okropności! Panie Alfredzie, niech pan nas broni!

Pan Alfred spojrzał na zamyśloną Jowitę, podkreślił z uśmiechem swój wąsik i rzekł:

— Zaiste, obrona tu nader trudna. I w wiekach chrześcijańskich powtarzają się podobne igrzyska. Czemże były owe turnieje rycerskie, na których godzono na śmierć lub życie pod okiem księżniczki o białem licu, aby z jej rąk otrzymać szarą błękitną, zdobiącą jej piękne łono?

Jowita ocknęła się z zamyślenia i podniosła na pana Alfreda szafirowe oczy swoje.

Pan Alfred spojrzał z pewnym, niezwykłym wyrazem w te oczy, ożywił twarz i rzekł:

— Ale ja zazdroszczę tym wiekom i tym rycerzom: była przynajmniej sposobność działać na serca.

Czasami serce kobiece potrzebuje jakiegoś gwałtownego wstrząśnienia, aby miłość w sobie poczuło.

Walka na śmierć lub życie pod okiem kobiety wstrząsa patrzących i wywołuje w sercu wzajemność! Żałuję bardzo tych czasów rycerskich, osobliwie w téj chwili!

Jowita uśmiechnęła się na to jak dziecię, które nie wie o co rzecz idzie. Była dziwnie roztargnioną.

Podjęła rozmowę panna Natalia i z uśmiechem żartobliwym, wskazując na konary wiszące nad przepaścią niedaleko nas, rzekła zwrócona do pana Alfreda:

— Oto po tym konarze pnie się mały, polny kwiateczek; możesz pan pójść i urwać go dla Jowity!

Na te słowa wymówione żartem nikt z razu nie zważał; ale pan Alfred zerwał się szybko na nogi, pobiegł do konarów, wiszących nad przepaścią i w jedném oka mgnieniu stał między niebem a istném piekłem...

Pani marszałkowa zemdląła, ciocia Jowity przyłożyła chustkę do oczu aby nie patrzeć, Natalia krzyknęła przerażliwie, a Jowita siedziała spokojna, blada jak posąg z marmuru...

Za chwilę grobowego milczenia... wrócił pan Alfred z kwiatkiem w ręku, z pewną pogardą życia na bladych ustach, z jaką zazwyczaj wraca się z śmiertelnego pojedynku.

— Bravo! — krzyknęli wszyscy mężczyźni, podczas gdy kobiety do zmysłów wracać zaczęły.

Twarz Jowity ożywiła się także, ale nie było na niej radości. Zmarszczyła czoło, jakby to co zaszło, sprawiło jej wielką nieprzyjemność. Twarz Natalii była rozjaśnioną.

Dziwnie w téj chwili pojąłem moją sytuację. Zdawało mi się, że mnie ktoś ubiegł i grozi wszystko mi odebrać. Nie namyślałem się wcale. Szał owaładnął mnie.

— Na tym drugim konarze — zawołałem — tam dalej nad tą przepaścią jest także kwiatek!

I w mgnieniu oka zbiegłem do konarów...

Słyszałem tylko jakby przez sen jakiś jęk głuchy... posunąłem się po konarze ponad przepaść, poszedłem dalej od mego rywala... wtém zatrzeszczał konar... uchwyciłem się bryły kamienia... i z nią razem stoczyłem się w przepaść!..

Co dalej ze mną się stało, nie wiem. Gdym przyszedł do przytomności, leżałem obwiniony szalami, a nademną ujrzałem pochyloną twarz Jowity, którejżby gorące padały na

moje skronie... Chustką swoją obwiązywała mi zdruzgotaną lewą rękę...

Chwili tej nigdy w życiu nie zapomnę!...

Oto był krok, którym cię w ostatnim liście straszylem. Był on zapytaniem i odpowiedzią!...

Reszta faktów jest mało znacząca. Przywieziono mnie do miasta, położono do łóżka, w którym sześć tygodni się wyleżałem. Pocciwy muzyk, na wyraźny rozkaz Jowity, odwiedzał mnie trzy razy dziennie. Nawet pan Alfred, jako wspaniałomyślny adwersarz, był u mnie kilka razy.

Muzyk powiada mi, że w domu ciotki Jowity dzieją się jakieś dziwne rzeczy. Jowita ma często oczy zapłakane, a nawet przed muzykiem nie może się od łez wstrzymać. Ciotka wygląda o dziesięć lat starszą i widać, że z Jowitą jest na stopie wojenną.

Jeszcze inne rzeczy opowiada mi muzyk, które wskazują, że coś strasznego dzieje się w tym domu! Nie chcę ci wszystkiego tego powtarzać. Spodziewam się, że za dwa tygodnie będę mógł wyjść, a wtedy sam obaczę, co się zrobiło, i co mi robić wypadnie!

Dotąd bądź cierpliwy!

LV.

MATKA SALOMEI DO JOWITY.

Horynin — sierpień.

Droga córko moja! Mam prawo tak cię nazwać, bo od lat kilkunastu byłam prawdziwą matką twoją. Spodziewam się, że tego prawa zaprzeczać mi nie będziesz.

Pisze mi ciotka twoja listy, które wszystkich nas mogą przywieść do najwyższej rozpacz.

Nie chcę jednak wierzyć, aby to wszystko było smutną, nieuniknioną prawdą. Kładę wiele na karb drażliwości, jaka panuje między wami. Gdyby nawet to wszystko prawdą było, nie mogę w nią uwierzyć. Niech ci to służy za miarę nieszczęścia, którebyśmy w tej prawdzie widzieć musieli!..

Wierzę przedewszystkiém w miłosierdzie Boga. Wierzę że On nie zsyła na nas takich nieszczęść, któreby nasze siły przewyższały. Jedno wielkie nieszczęście, zawód Salomei, już nas spotkało. Rzuciło mnie ono na łożo, z którego nie wiem, czy tak prędko wstanę. Czuję że siły moje z każdym dniem słabną. Drugie takie nieszczęście, które mi od ciebie zagraża, byłoby już nad siły moje i zabiłoby mnie!

Bóg miłosierny nie zsyła na raz tyle na biédnego człowieka. Wierzę, że to drugie nieszczęście ominie nas.

Mimoto, pozwól kochana córko, że się szerzej rozpiszę o niektórych rzeczach, które poczęści są ci znane, a które przy wstępie w nowe życie, nie będą dla ciebie bez korzyści.

Lat temu dwadzieścia kilka, gdy ojciec twój wyjechał do Warszawy, aby się obejrzeć za dożgonną towarzyszką życia. Był to człowiek prawy i wysokich zdolności. Lubiony i kochany od wszystkich, a szczęście, w całym znaczeniu tego słowa prześladowało go. Być może, że właśnie dla tego nie cenił go, przechodził pomimo niego goniąc za jakimś swemi urojeniami.

Zbytek szczęścia psuje człowieka i odbiera mu zmysł, gdzie tego szczęścia szukać potrzeba. Daremnie starsi z rodziny reflektowali go, poddawali mu goniące za nim szczęście na rękach, ale on nic przyjąć nie chciał. Panna Hortensya, dzisiaj hrabina**** miała dla niego afekt niepowściągniony, sama ofiarowała mu rękę i dwa najbogatsze klucze w naszej okolicy, ale to naopróżno. Ojciec twój cierpiał na dziwne jakieś fantazyje i uganiał za nimi po szerokim świecie.

W Warszawie gdzieś na koncercie ujrzał matkę twoją po raz pierwszy. Była to kobieta nadzwyczajnej piękności. Matka jój, z rodu Włoszka, mieszkała w Warszawie z małego kapitaliku. Dziadek jój był, jeśli się nie mylę rzeźbiarzem, którego Stanisław August, do przyozdobienia pałaców swoich z Rzymu sprowadził.

Matka twoja była osoba wielkiej zacności, znakomitego wykształcenia, nieposzlakowanego charakteru, ale według wyobrażeń całej rodziny ze strony ojca, nie była stosowną dla niego partją.

Niech cię nie dotykają te słowa moje, droga córko, bo one nie wychodziły nigdy odemnie, jak tego dałam ci

dowody przez całe dotychczasowe życie twoje; ale wychodziły one od rodziny, której przekazano pewne świetne tradycje, aby nad nimi czuwała na korzyść otaczającego ją społeczeństwa. Nazwiska, jakie i ty dzisiaj nosisz, były zawsze w dziejach naszych jakoby drogowskazy, zaznaczające przebieg historii. Społeczeństwo nasze winne jest im cześć zasłużoną. Czas i ludzie chcą nas wprowadzić dzisiaj z całym gminem porównać, ale do nas należy stawić opór i kojarzyć się równymi nam w tabor niezwalczony. Inaczej odbiorą nam z ręki panowanie nad niższymi, które się nam z bożej łaski i zasługi przodków naszych słusznie należą!

Otóż według tych wyobrażeń sprzeciwiała się rodzina ojca twego jego zamysłom. Ojciec twój okazał wielką stałość charakteru, godną nazwiska, które nosił. Niemogąc zamiarów swoich spokojnie w kraju uskutecznić, wyjechał zagranicę i tam ożenił się z twoją matką.

Byli członkowie rodziny, którzy prawowitość tego małżeństwa podejrzewali. Nawet znalazł się ktoś, który po śmierci ojca twego zaprzeczył matce posiadania fortuny ojcowskiej; ja jednak z mężem moim, który jako opiekun wywiązał się zaszczytnie z obowiązku swego, stanęliśmy po twojej stronie, a cała rzecz zakończyła się korzystnie dla ciebie i dla pamięci zacnej matki twojej.

Krok twego ojca, jakkolwiek świadczył o szlachetnym sercu, nie przyniósł mu jednak tego szczęścia, o jakim marzył. Wprowadzić matkę swoją była idealną kobietą i żoną. Kochała go do śmierci i po śmierci jego całą duszą, całą namiętnością południowego swego pochodzenia. On był dla niej bożyszczem, od którego nigdy oczu odwrócić nie mogła! Żyła biciem jego serca, patrzyła na świat tylko jego oczyma!

Gdyby prócz kochających się dwojga serc nie było na świecie ludzi, nie było żadnego społeczeństwa, ani żadnych stosunków towarzyskich i potrzeb rzeczywistego życia: ojciec twój w związku z matką byłby najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi!

Ale zważ droga córko, że życie nasze nie da się zasklepić w jakiejś wymarzonej abstrakcji. Musi się ono połączyć z potokiem społeczeństwa, z wyrobioną przez długie wieki tradycją form i wyobrażeń towarzyskich. Od

tęj wspólności nie może się żaden człowiek wyłamać, a naj-
mniej ten, kto do tej wspólności ma prawo niezaprzeczone,
tradycyjne.

Otóż po dwuletniej podróży zagranicą zatęsknił ojciec
twój do wspólnego życia między swymi.

Teraz dopiero zaczął mu ten krok jego zamiast do-
tychczasowych róż, przynosić same ciernie.

Człowiek rad sobie marzy ideały, ale z wymarżonym
tym ideałem niech nie wchodzi między rzeczywiste stosunki
życia i niech nie żąda od otaczającego go świata, aby tenże
również wysoko cenił jego ideał!

Stosunki życia rzeczywistego są straszne i nieubłagane.
Nie się tam nie sądzi według wewnętrznych pobudek które
mogą być najszlachetniejsze, ale według ostatecznych rezul-
tatów. Nic się tam nie mierzy miarą wyższych uczuć, tylko
miarą uświęconych długami wiekami form i tradycji.

Kto przeciw temu dążyć zapagnie, tego zdruzgoczą
żelazne koła odwiecznej maszyny społeczeństwa.

Ojciec twój przyjechał do kraju i wszedł w stosunki
towarzyskie.

Ludzie naszego towarzystwa należą do najbardziej
ugrzeczniionych. Umieją w stosunki z drugimi wlać słodycz
niewyczerpaną i zaprawić ją całą wonnością wysokiego
ukształcenia; ale z drugiej strony, żadna sfera towarzyska
niema tyle środków do swego rozporządzenia, jeśli wypada
komuś dokuczyć a nawet mu ubliżyć jak najgrzeczniej: pod
tym względem sztuka tu stoi bardzo wysoko.

Ojca twego przyjęli znajomi i przyjaciele z otwartymi
rękami; matka zaś natrafiła w każdym kroku na owe
śpilki, któremi z nadzwyczajną grzecznością kłuto ją w sa-
mo serce.

Ojciec kochał matkę, a od stosunków życia rzeczywi-
stego oderwać się nie mógł. Powstał więc w nim pewien
rozstrój, który go podzielił na dwóch ludzi. Jeden z nich
żył w stosunkach towarzyskich, drugi zasklepiony w sobie
wraz z swoim ideałem. Jeden nie zgadzał się z drugim,
jeden stawał drugiemu w drodze. Rozpoczęła się walka
między tymi dwoma ludźmi, walka, która często matkę twoją
wiele łez kosztowała!...

Walka ta jednak ustawiczna musiała w końcu zniszczyć wszelkie siły duszy. Ojciec stawał się smutny i szukał czegoś w życiu, co by go upoiło, aby już nie rzeczywistych stosunków życia, ale błędnych coraz więcej barw swego ideału nie widział!

Taki rozstrój z zewnętrznym i z wewnętrznym światem zaprowadził go na dziwne drogi. Gonił excentryczności, chciał często śmiać się z samego siebie. Matka twoja widziała to i wiedziała, że ona jest tego powodem. Zalewała się łzami, a nawet, nie chciała gorącą miłością swoją drażnić i powiększać nieukontentowanie męża.

Ojciec twój umarł tknięty apopleksyą.... a za rok poszła za nim szlachetna, kochająca go kobieta, której jedynym przewinieniem było, że nie była mu równą pozycyą towarzyską!..

Widzisz dziecię moje, jak srogo i okrutnie mści się ten świat rzeczywisty, ten starzec zimny o kilkunastu wiekach, w którego kościstych, wyschłych rękach więdną najpiękniejsze kwiaty naszej rozigranej wyobraźni!... W godzinach, gdy nami serce najgoręcej bije, on przychodzi błady i od zimna drżący, i przykładą nam na pierś naszą swoją skostniałą, lodowatą rękę!...

Dziecię moje, ten starzec rządzi nami!

Z tym starcem trzeba się rachować!....

Przy każdym ważnym kroku życia trzeba o tém pamiętać, że on przyjdzie, ten zimny, lodowaty starzec, i położy nam zimną rękę na sercu naszym!....

Gdyś została sierotą, przyszedłś w dom nasz i znalazłaś we mnie matkę, a w opiekunie twoim prawdziwego ojca. Otoczyliśmy ciebie pieczyotami rodzicielskimi i rośłaś z dziećmi memi bez żadnej różnicy.

Przedewszystkiém miałam na względzie, w przyszłym twojem stanowisku naprawić to, co niezasłużenie się popsukiło. Dałam ci wykwintne wychowanie, umysł twój wzbogaciłam nauką niepospolitą. Otoczyłam cię całym urokiem kobiety wyższego towarzystwa, w którym błyszczyć i królować możesz!....

Wypieściłam i wygrzałam w głębi duszy przy tobie dwa marzenia. Jedno, że łącząc nasze imię z drugim, niepospolitą świetności imieniem, unikniesz tego połowicznie-

go stanowiska, na jakie skazał rodziców twoich ten zimny, zgrzybiały starzec.

Drugie marzenie odnosi się do mnie saméj. Majątek nasz nie odpowiada widokom, do jakich słuszną moglibyśmy mieć fantazyą. Do tego pięć córek rozdrobnią ten majątek na bardzo ubogie posagi. Jedyny więc ratunek byłby dla nich aby przez świetną koligacyą weszły w szersze koła, i tam szczęścia swego szukały. Mam przekonanie, że go znajdą, jeśli tylko przez zawiązanie nowych stosunków otworzy się dla nich sposobność do popisu w wyższych kołach towarzystwa.

Tém ogniwem, ciągnącém je w tę sferę, miałas być ty, drogie dziecię moje!

Wypadek szczęśliwy zdarzył, że cię poznał znakomitego nazwiska młody człowiek. Pan Alfred może cię zaprowadzić tam, gdzie ci się niejsce słusznie należy!

Do ciebie przywiązane są teraz losy pięciu moich córek. Ty jedna możesz teraz stworzyć dla nich odpowiednią sytuacyą, bez której będą musiały zakopać się w klasztorze, lub pójść na łaskę krewnych, która nie zawsze jest tém dla sierot, czém była dla ciebie!....

Majątek twój wzrósł w dwójnasób w rękach opiekuna twego; jeżeli później świat rzeczywisty lepiej poznasz, policzysz to do osobliwości.

A teraz do tych słów nie dodaję nic więcej. Zostawiam twemu szlachetnemu sercu pocucie się do pewnych obowiązków, których się nigdy pismem nie oznacza. Wdzięczność jest przymiotem dusz wyższych, bez niéj nie ma żadnej wyższości: jest tylko brudny, poziomy egoizm.

Siły moje skabną coraz więcej. Gdyby Bogu podobano się powołać unie przed siebie, z pod Jego podnóża wyciągnę z błogosławieństwem ręce nad tobą, aby w twe serce dla moich sierot wlał taką miłość, jaką ja miałam i mam do tąd dla ciebie!

To co zrobisz, nie zrobisz dla siebie saméj, ale dla nas wszystkich!.....



LVI.

OJCIEC SALOMEI DO JOWITY.

Horynin, — sierpień.

Z listu do ciotki dowiesz się o naszym nieszczęściu. Druga matka twoja, która cię na rękach swoich wypiastrzyła, już nie żyje! Odwołał ją Bóg do lepszego życia, a nas zostawił w smutku nientulonych.

Od Salomei nie oczekuj tak prędko listu. Biędne dziecię nie jest w stanie określić ci w tej chwili bólu swego. Gdyby łzy, które z jej oczu płyną, mogły oraz być pismem, miałabyś co po całych dniach czytać.

Ale nie tentujmy Boga rozpaczą naszą. Zostawmy Jego niezgłębionej mądrości bolesne wyroki, które nas w życiu doczesnym tak srodze ranią!...

Jeżeli grom niespodziany jeden z głównych konarów drzewa odłamie, to ratujemy resztę drzewa. Zawijamy ranę i obejrzymy się za podporą, która by pozostałemu nie dała upaść.

Nieboszka stygnącem już piórem pisała do ciebie, jakby przeczuwała, że przed grobem powinna jeszcze żywe słowo swoje rzucić na szalę roztropności, która cię w życiu nigdy opuszczać nie powinna.

Do tych słów już mało mam co dodać. Najważniejszy fakt, który sam te słowa dopełnił, jest, że ta, która te słowa do ciebie pisała, już nie żyje! Jest to więc niejako jej spowiedź ostatnia przed tobą, jej testament. Polecam go pamięci twego szlachetnego serca.

Mimoto pozwolisz mi jeszcze, że zwrócę tutaj uwagę twoją na dzisiejszą sytuację naszą.

Śmierć matki odebrała córkom wszystko. Nadeszła ona w chwili, gdy matki najwięcej potrzebowały. Jakikolwiek mogą być wyobrażenia o szczęściu ludzkim, zawisło ono wiele od sposobności, jaka się ludziom do tego szczęścia nastręcza. Gdybyśmy mieli w kieszeni patent na najwyższe szczęście, nieby on nam nie pomógł, jeżelibyśmy nie stworzyli sobie sposobności uchwycenia tego szczęścia. Gdyby kobieta była aniołem i jaśniała wszelkimi wdziękami du-

szy i umysłu, zmarnieje w ukryciu, jeśli nikt jęj na szerszą arenę życia nie wyprowadził...

To właśnie jest zadaniem matki. Najlepszy ojciec nie w tym względie uczynić nie może: na nim ciąży inne obowiązki, a chociażby od nich się uwolnił, nie ma do tego ani talentu ani zręczności.

Tu trzeba przedewszystkiem oka i rozsądku kobiety. Trzeba aby kobięta podała rękę młodym jęj towarzyszkom i z kobięcym rozsądkiem prowadziła je przez kręte ścieżki świata.

Tęj opieki córki moje dzisiaj już nie mają!

Droga córko nasza! Kiedym dla ciebie pracował, aby twój majątek kiedys zwiększony w dwójnasób w ręce twoje oddać, kiedy nieboszka jako własne dziecie przytuliła cię do serca swego i dnie i nocy nad twojém ukształceniem pracowała, ożywiała nas w tych trudach naszych błoga nadzieja, że kiedys w braku nas, oddasz dzieciom naszym, a swoim siostróm te same uczucia, jakimi my dla ciebie hojnie szafowali, i rozciągniesz nad niemi tę opiekę, jakąśmy ciebie otoczyli!...

Wierzę w twoje dobre chęci. Wierzę nawet że byłabyś w tęg mierze zdolną do ofiary i poświęcenia się. Ale to wszystko nie dosyć; chcąc coś dobrego zdziałać, trzeba piérwój samemu zająć odpowiednie stanowisko: bez takiego stanowiska pomoc nasza skończy się na słowach i dobrych chęciach.

Otóż przedewszystkiem, droga córko nasza chcięg wielką wagę przywiązać do takiego stanowiska. Kto stanie na silnym łądzie, ten może z większém powodzeniem podawać rękę tonącym, niżeli stałby w grzązkiém błocie!

Pisze mi siostra, że właśnie Opatrzność Boga nadarzyła ci sposobność zajęcia nader pięknego stanowiska w fami-lii naszég. Młody człowiek, pięknego nazwiska daje ci tęg zaszczytną pozycyą. Ojca pana Alfreda znałem osobiście jako człowieka wielkich wpływów; familia jego zajmuje wysokie stanowisko, które można nader korzystnie spożytkować.

Tym jednym krokiem twoim możesz stworzyć sobie sytuacyą, jakieg tysiące kobiet zazdrościć ci będą, a zarazem otworzysz przy sobie pole dla biednych sierot a siostr

twoich, na którém mogą się z przeznaczoném szczęściem spotkać.

Nie przeczę temu, że do tego potrzebna jest koncessya twego serca. Nie odmawiam ci nawet prawa do pobawienia się obrazami imaginacyi, które w twoim wieku więcej mają powabu nad najrozkoszniejszą rzeczywistość; mimoto jednak, w głębi powinien zawsze na straży stać rozsądek, aby starannie oddzielać to, co do zabawy, a co do życia należy.

Wolno ci używać jednego i drugiego, ale nie wolno ci bezkarnie brać jednego za drugie!...

Fantazją możesz sobie nie jedną chwilę życia uprzyjemnić, ale jeżeli chcesz nią zapełnić całe życie, to się srogo oszukasz!

W życiu to jest jedynie wyprobowane, co się przez kilkanaście wieków utworzyło i co dotąd mimo nawoływań nowego ducha czasu, ciągle istnieje. Niechaj dzisiejsi ludzie nazywają to przesądem lub zacofaniem się, ale to jest, rośnie i smaczne wydaje owoce!

Gdybyś więc dla rzeczywistych stosunków życia miała się rozstać z jakim wypieszczoném marzeniem, nie żałuj go! Przyjdzie chwila, w której śmiać się będziesz z tych wszystkich marnych ideałów!...

Życie nasze powinno być jak stawka w grze. Stawiamy ją, aby w dwójnasób do nas wróciła; stawiać zaś życie na jakieś ideały, to znaczy grać z bankierem, który ani grosza nie ma!...

Najważniejszym jednak reflektorem we wszystkich zamysłach twoich niech ci będzie wspomnienie o pięciu osierociałych siostrach twoich, które jedynie od ciebie opieki macierzyńskiej wyglądają!

LVII.

STEFAN DO NIEZNAJOMEGO.

Sierpień.

Od kilku dni trapi mnie niepokój. W miarę powrotu sił moich nacierają mnie smutne myśli. Nie mogę się ich pozbyć, a samotność moja wcale temu nie sprzyja.

Ponieważ prawą ręką dobrze władać mogę, zatrudniam się jak mogę; ale gdy szara godzina nadejdzie, albo noc ciemne swoje szaty rozwinie, wtedy ciśnie jakiś dziwny smutek serce moje.

Muzyk przychodzi do mnie kilka razy na dzień. Przynosi mi wiadomości od Jowity. Wprawdzie nie widzi jej nigdy saméj, tylko zawsze w towarzystwie ciotki. Mimo to pyta zawsze Jowita o stan mego zdrowia i pilnie o wszystkie szczegóły dowiadyuje się. Ciotka nie rada to słucha, ale jej nie przerywa.

Opowiadał mi także muzyk, że przed kilkoma dniami weszła do niego Jowita z listem w rękę, mocno zapłakana. Mówiła że w rodzinie ktoś umarł i że to bardzo boleśnie ją trafia; a kiedy zaraz potém o mnie się zapytała, puściły się łzy z jej oczu, których w żaden sposób powstrzymać nie mogła.

Pocciwy muzyk wietrzy w tym domu jakieś dziwne rzeczy. Na twarzach maluje się niewidziane dotąd rozstrojenie. Jowita po całych dniach jest w negliżu, jakby nigdzie wyjść nie chciała, albo chorą była.

Gdyby nasz muzyk był młody, to może więcej wiadomości przyniosłby mi z tego miejsca; ale przy jego wieku i troskach zaledwie dziesiąte słowo zostanie mu w jedyném, posłuszném mu uchu.

Niecierpliwość napada mnie wielka. Obawiam się, że słabość moja za długo już trwa...

Powiada poeta: że dla każdego człowieka bije raz w życiu godzina szczęścia, tylko że nie każdy ją słyszy, i nie każdy z niej korzysta!

Obawiam się, abym godziny szczęścia mego nie przechorował.

Żegnam cię!

LVIII.

ALFRED DO STEFANA.

Sierpień.

Mój Panie! Przyjaźń jaką mam dla Wacława, każe mi w równie przyjazny sposób i do pana przemawiać. Niech to

panu bynajmniej nie ubliża, bo dawniejsze stosunki powinny zawsze iść przed świeżą, choćby nawet wysoce zaszczytną znajomością!

Dziwne igrzysko losu postawiło nas przeciw sobie. Luźny przypadek, ten sam, który skałom w Szwajcaryi nadał profil Wielkiego Napoleona, sprzął nas obu, abyśmy w jednym dramacie odegrali role swoje.

Zastanowiwszy się nad tém, przyszedłem do przekonania, czyby nie lepiej było, aby występujący w tym dramacie aktorowie, między sobą role swoje wygadali nie spraszając do tego widowiska chciwój publiki?

Ten взгляд podał mi pióro do ręki. Chciój pan to pismo moje, z tym samym roztropnym spokojem przeczytać, z jakim ja je ułożyć usiłowałem.

W drodze artystowskiego swego zawodu spotkałeś pan kobietę, która sprawiła na panu niezwykle wrażenie. Wierzę, że goniący za plastyczném uosobieniem piękna, artysta mógł się przed nią na chwilę zatrzymać i należyty hołd jój oddać.

Dotąd jesteśmy w zupełnej zgodzie. Pochlebia mi to nawet, że przy téj kobiecie zeszedłem się z człowiekiem tak wytwornego gustu, jakim pan, jako artysta być musisz.

Z mojej strony hołd ten chwilowy przeszedł w poważne, dalej sięgające zamiary. Ze strony pana nie obawiałem się żadnego niebezpieczeństwa, bo miałem niezłomne przekonanie, że pan tam nie idziesz, gdzie ja dążę!

Przekonanie to wpływało z różnicy naszego stanowiska. Niech to pana bynajmniej nie drażni, że się tak odzywam. Mówię z całą otwartością i używam argumentów bez obwijania w bawełnę.

Dążności pana cenię wysoko, jak to pan z mego zachowania się widzisz. Chciój pan jednak zważyć, że to są dopiero dążności, które mogą pana z czasem zaprowadzić do pewnego, niepodleglejszego stanowiska.

Otóż ta jest różnica między nami. Możesz się pan nie zgadzać z zasadą, ale przyznać pan musisz, że ja mam już to gotowe, do czego pan dopiero dążysz. Moje stanowisko w obec świata rzeczywistego nadaje mi przewagę nad panem, przeciw której pan skutecznie walczyć nie możesz.

Mimo to przypuszczam, że pan ze mną tę bezskuteczną walkę rozpocząć zamysłasz. Może pana zachęcić do tego usposobienie kobiety, która również jak pan, z zapałem oddaje się czci piękna. Pokrewność zapatrywania się na objawy życia, pewna zdolność unoszenia się ponad granice życia rzeczywistego, i pewna zgoda działających w nerwach naszych prądów, mogą wielką być pokusą do podjęcia tej walki.

Czynię jednak pana uważnym na pewne niebezpieczeństwo, którego pan nie widzisz. Pan jesteś szlachetny, działasz jako taki, i z podobnego stanowiska sądzisz o świecie i o ludziach. Żyjesz na seryo, i myślisz, że i inni to samo czynią. Objawy życia towarzyskiego bierzesz tak, jak one się poważnemu człowiekowi przedstawiają.... Tymczasem dowiesz się pan po niewczasie, że to coś pan brał za prawdę, był żart... a coś pan wziął na seryo, było tylko zabawką....

Rozczarowań takich odniosło w naszych sferach bardzo wielu ludzi, którzy tajemnic tych sfer nie znali!...

Rzucam jednak luźnie te myśli bez zastosowania ich do naszego sporu.

Przeciwnie, przypuszczam, że pan masz ugruntowany powód do wytrwania na polu walki.

Przypuśćmy, że pan masz wzajemność....

W takim razie, jako człowiek prawy i uczciwy ma na sobie obowiązek postarania się o szczęście dla ukochanej i kochającej kobiety.

Czy masz pan warunki tego szczęścia?

Nie mówię tutaj o warunkach materyalnych, o których również niegodzi się zapominać, ale o warunkach moralnych.

Kobieta, o której pan marzysz, należy do sfery, do której trzeba mieć inny patent, jak medal zasługi otrzymany na wystawie londyńskiej. Może to pana gniewać, ale przeto rzeczy nie zmieni. Może to być przesąd spróchniałego (jak niektórzy nazywają) towarzystwa, ale tak jest. Tej kobiety nie wprowadzisz pan tam za swoim paszportem!

Czy sądzisz pan, że dla takiej kobiety możesz pan inne szczęście stworzyć?

Wierzę, że w chwili szalu wszystko jest możliwe. Wierzę, że pan w tej chwili możesz mieć to przekonanie, że

dla téj kobiety dosyć jest chatki w lesie i śpiewających na gałązkach ptaszków!...

Ale zważ pan, że szal chwilowy przemija a za nim rozciąga się długie życie!... A to długie życie wyrobiło już sobie pewne potrzeby, pewne formy, pewne nawet, jeżeli pan chcesz, przesady i uprzedzenia, a wszystkim tym materyałom życia, trzeba zadość uczynić?

Cóż pan uczynisz, jeśli po jakimś czasie obaczysz tę kobietę znudzoną samotnością, płaczącą skrycie za tém co goniąc błyskotne ideały, rzeczywiście utraciła!...

Czy jestże to prawdziwa miłość, która w chwili szalu poświęcającą się kobietę skazuje na taką przyszłość?...

Nie, tego o szlachetnym człowieku przypuścić nie mogę. Serce które kocha, patrzy w przyszłość, a nie rzuca się na oślep na przypadkową zdobycz! O wyrachowanie zaś tylko na dzisiaj nie posądzam pana!

Prócz tego, muszę przed panem jeszcze jeden obraz roztoczyć:

Wiesz pan dobrze, że ta kobieta jest sierotą. Przyjęli ją krewni i z poświęceniem się własnych interesów swoich zajęli się jéj wychowaniem, wykształceniem i sumienną administracją majątku. Jak się wywiązali z swoich obowiązków, to pan wiesz. Przed kilkoma tygodniami trafia wielkie nieszczęście tych krewnych: matka umiera, konkurent najstarszój córki w wigilią zaręczyn odstępuje (jestto wielka przyjaciółka i siostra mleczna téj, o której mówimy), majątek okazuje się zrujnowany, a pięć córek bez perspektywy znalezienia mężów!...

Matka w testamencie poleca jéj swoje sieroty, szlachetny opiekun puka do wdzięczności jéj serca, i wszystko teraz spoczęło w jéj ręku!

Nie myśl pan jednak aby tu chodziło o wspomnienie podupadłych krewnych jaką jałmużną, nie, prosby téj rodziny są inne:

„W twojem ręku — wołają do niéj — jest dzisiaj nasza przyszłość. Stwórz dla siebie tém, cośmy dla ciebie zrobiły, należyta pozycję w świecie, abyśmy korzystając z tego, znalazły przy tobie opiekę matki, któraby nas w świat wprowadziła i dała nam sposobność znalezienia odpowiedniego szczęścia!...”

Od kroku więc, jaki ta kobieta uczyni, zawisło nie tylko jój szczęście, ale szczęście zrujnowanej rodziny jój jedynych dobrodziejów!...

A teraz pytam pana trzeźwo i spokojnie: czy możesz pan w świecie rzeczywistym nadać téj kobiecie taką pozycję, na którejby ona żądanej słusznie od niej wdzięczności zadość uczynić mogła?

I to zapytanie może pana chwilowo gniewać, ale gdy spokojniej nad tém się zastanowisz, to sam uznasz, że uczucie, o jakiem miałeś wysokie wyobrażenie, nie było niczem inném, jak tylko wpływem wyrafinowanego, ale zawsze poziomego egoizmu.

Czysta, wielka miłość nie czyni z kobiety ofiary; nie wiąże jój rąk tam, gdzie pewna czynność jest potrzebą jój życia i obowiązkiem zaciągniętego długu wdzięczności!

LIX.

STEFAN DO ALFREDA.

List pana odsłonił mi zamiary, jakich się domniemywałem.

Wierzę, że każdemu człowiekowi wolno powziąć sobie pewne zamiary. Wierzę, że te zamiary mogą nawet zaśczyt uczynić jego sercu i odwadze, ale chciéj pan bez żadnej alteracyi zważyć, że te *zamiary* nie nadają mu jeszcze żadnego stanowiska, z którego walkę skutecznie rozpocząć można.

Ale przyjmuję i tak pana za adwersarza, choćby tylko dlatego, aby odpowiedzieć na niektóre zdania, w sposób nader zręczny wyłuszczone, a bynajmniej nie zgadzające się z prawdą rzeczywistą.

Wyobrażenia pana o miłości i o szczęściu kobiety ukochanéj są tak piękne i wzniosłe, że mogą w danym razie przejednać mnie z panem. Gdyby okoliczności zrządziły, że ta ukochana nielegalnie przezemnie kobieta weszłaby na pańskim ramieniu w szerszy zakres swoich zaszczytnych czynności, miałbym natenczas tę jedyną pociechę, że ją

wprowadził zacny człowiek, mający o jęj szczęściu i obowiązkach tak zaszczytne pojęcia!...

Ale od słów do rzeczywiŝtoŝci, mój panie, jest jeszcze daleka droga. Jakkolwiek dzisiaj nie mam żadnego prawa słowa pańskie podejrzywać, nie będziesz się pan jednak gniewał, jeżeli powiem, że dla nadania słowom podobnym prawdziwęg wagi, potrzeba pewnych, rzeczywistęg natury warunków życia.

Pan do nich dopiero dążysz, a *dążność* nie jest jeszcze stanowiskiem, z którego wydawać można z góry sądy o sobie i o drugich.

To co pan mówisz o bawieniu się w pewnych sferach rzeczami świętymi, nie wchodzi w zakres naszego sporu. Tak sam pan mówisz, ale tém coś nie dopowiedział a myślał, ubliżyłeś w wysokim stopniu kobiecie, której prokuratorem się obrałeś, i ubliżyłeś samemu sobie.

Miłość, nazywasz pan błędnie szaleem chwilowym. Być może, że w otoczeniu swojém nie widziałeś pan innęg miłości. Być może, że w pewnych warunkach życia nie może być miłość czémś więcej jak szaleem chwilowym, tak samo jak zapalona lampa może tylko raz wyblęsnąć i zgasnąć, jeśli w wnętrzu swém nie znajdzie materiału palnego. Ale tego wyobrażenia nie możesz pan rozszerzyć na ogół, który nie zwykł w takim razie zapalać pozostałych po różnych ofiarach niedopałków...

Miłość nie jest szaleem jednęg chwili, ale jest żywiołem całego życia. To co pan widzisz, jest tylko jedną jęj przemianą, tak samo jak kwiat na drzewie, który dla pospolitych oczu niby marnie ginie, jest tylko jedną przemianą w całym życiu drzewa.

Nie przeczę temu bynajmniej, że są w społeczeństwie ludzie, dla których czas kilkunastowiekowy wyrobił pewne formy, przyzwyczajenia, odrębne pojęcia i je niejako w pewien zakon skryształizował.

Wierzę, że tym ludziom smutno jest wyjść poza granice tego zakonu, ale tylko wtedy, jeżeli się lękają zmierzyć z żywym prądem społeczeństwa, jeśli zgnięm w ostojach siłom swoim nie ufają, a wreszcie jeżeli wprost do niedołęŝstwa się przyznają, ochraniając się od innych wałem nieprzebytym, jak mieszkanie niebieskiego państwa!

Nie mogę jednak z tém się z panem zgodzić, aby legowisko za tym wałem należało koniecznie do szczęścia.

Życie ludzkie ma wiele dróg do szczęścia, a najuboższy tak samo między niemi wybierać może, jak i ten który się blisko tronu rodzi.

Zależy tu tylko o pojęcie obowiązków życia. Kto za cel życia położył sobie próżnowanie i zabawę, a znudzony taką jednostajnością nie wie w końcu co z życiem zrobić: ten oczywiście chciwie przywiązuje się do stereotypowych form i drobnych fraszek, które jako tako czas mu wypełniają.

Wielce ubliżasz pan kobiecie, o której sądzisz że podobne fraszki staną się potrzebą jęj życia. Odziedziczone stosunki wybrańszego towarzystwa są to niejako ze składu wzięte patrony, przez które każdy terminator malarski może na ścianach mazać różne ładne arabeski. Człowiek czynny w społeczeństwie stwarza sobie sam stosunki, według tego jak daleko praca jego dosięże! Takie stosunki są odpowiednie i godności człowieka i czynią zadość wymaganiom, jakie ma społeczność do niego.

Wielce ubliżasz pan kobiecie, o której mowa, podejrzewając ją o nieudolność stworzenia sobie takich, swemu usposobieniu odpowiednich stosunków!

A nawet jestem tego zdania, że stanowisko takie w żywym prądzie społeczeństwa, daleko większą korzyść mogłoby przynieść nieszczęśliwój, podupadłój rodzinie, niżeli z ostatkami mienia garnienie się tam, gdzie jak pan sam twierdzisz: „miłość jest szalem jednéj chwili” a na następujące „długie życie” nie będzie dostatecznych posagów!...

Dajesz mi pan do poznania, że tę kobietę chciałbyś zaprowadzić przed ołtarz.

Przypuśćmy, że ona jest!... albo że będzie panu wzajemną do téj chwili.

Miłość wielka i szlachetna nie wypływa nigdy z egoizmu. Nie podejrzewam pana, że dla własnych widoków rzucasz się jakby na zdobycz jaką.... Wierzę, że pragniesz szczęścia téj kobiety.

Czy masz pan warunki tego szczęścia?

Kobieta, o której pan marzysz, należy do sfery kobiet wybrańszych, które nie poprzestają na martwych formach

i fraszkach życia, jakiemi je jak mumje owinąć usiłują. Może ona kiedyś zapukać do sumienia męża i zapytać: kto jesteś i czém jesteś?... Atmosfera świata, w którą ją pan wprowadzisz, może się jój wkrótce wydać za duszną. Może od pana zażądać żywego prądu życia, zapragnąć, abyś dla jój wyobrażeń i usposobienia inne stworzył sobie stanowisko!

Czy będziesz pan miał na to warunki?

Nie, tego lekceważenia ze strony pana przypuścić nie mogę. Serce które kocha patrzy w przyszłość, a o wyrachowanie zaś tylko na dzisiaj, nie posądzam pana!

Zresztą spór nasz prowadzimy w ten sposób, jakbyśmy trzeciej osobie odmawiali wszelkiej wolnej woli i samodzielności. Na tém też koncentruje się cała moja odpowiedź!

Osoba trzecia najlepiej nam obu odpowie.

LX.

STEFAN DO NIEZNANEGO.

1 września.

Zaledwie list do ciebie z wiadomością o dziwnej między mną a pana Alfredem korespondencji wysłałem, przyszedł do mnie zadyszany muzyk i doniósł mi, że Jowity już w mieście niema!

Wyjazd ciotki z Jowitą nastąpił nagle, niespodzianie. Nie było najmniejszych przygotowań. Nikt o tém nie wspominał ani słowem, a dzisiaj rano zaproszono jeszcze muzyka na wieczorną herbatę.

Co się stało? Nie wiem. Nie mogę nawet nic wymyślić, co by mogło to wszystko spowodować.

Wysłałem muzyka na zwiady i przerywam list aż do jego powrotu.

Muzyk wrócił, ale nic szczególnego nie przyniósł z sobą. Pomieszkanie jest zapłacone jeszcze na pięć miesięcy. Powiedziano przy odjeździe gospodyni, że jadą do wód. Do jakich? Nie wiem.

Smutek ciężki opanował serce moje. Ciemno zrobiło się nagle wkoło mnie. Czuję się nagle tak samotnym, jakbym sam jeden był na świecie!...

Jakież mogła mieć powody Jowita tak nagłego odjazdu? Jeżeli o nim naprzód wiedziała, czyż nie mogła przesłać mi przez muzyka choć jedno słowo pożegnania? Wszak codziennie miałem od niej słowa przyjaźni, czyż nagle zmieniło się jój serce?...

Czyż to ma być ta odpowiedź osoby trzeciej, o której niedawno do p. Alfreda pisałem?

Nie umiem z tego wszystkiego nic związać. Wszystkie domysły moje mącą się i motają, a nigdzie nie widać żadnego końca, aby go uchwycić i do pasma się dostać!...

Może jutro więcej się dowiem. Noc jednak dzisiejsza będzie dla mnie straszną nocą!..

LXI.

2 września.

Dowiaduję się dzisiaj, że pani marszałkowa także nagle miasto opuściła. Miała ona temi dniami mieć atak apoplektyczny. Lekarze nakazali jój spiesźnie udać się do wód. Do których? Nie wiem.

Prawdopodobnie więc ciotka Jowity, jako nieodstępna przyjaciółka marszałkowej, pojechała z nią wzięwszy z sobą Jowitę; pan Alfred zaś wybrał się na kilka miesięcy do Paryża.

Tyle tylko zebrałem wiadomości. Zdaje mi się jednak, że to wystarczyć może do małego zarysu całej tój, jak ją nazwę, intrygi.

Po liście pana Alfreda sędzę, że sprawa jego względem ręki Jowity nie szła najlepiej, jeżeli do mnie niejako po casy się udawał. Odpowiedź moja pogorszyła zapewne jeszcze tę sprawę. Uradzono więc chwycić się ostatecznego środka, to jest, wyrwać Jowitę z miejsca, do którego przywiązują się niektóre jój wspomnienia i nawałem świeżych wrażeń zmasać to wszystko, co w jój duszy mogło się przez ten czas zapisać. Środek to dla młodych panien, nader pospolity i często ze skutkiem używany.

Zdaje się, że taki był plan. Aby Jowitę niejako niespodzianie zaskoczyć zmyślono słabość marszałkowej i urządzono naprędce nagły wyjazd dla jęj ratunku. Stara kobieta potrzebowała jakiejs opieki kobiecej, którą wzięła na siebie jęj przyjaciółka. Jowita sama w mieście pozostać nie mogła i musiała chcąc nie chcąc razem się zabrać. Pan Alfred według wszelkiego prawdopodobieństwa także razem pojedzie, tylko dla zmylenia opinii wymyślił podróż do Paryża. Towarzystwo Jowity w tęg podróżę, będzie polem różnych jego usiłowań, aby dojść do zamierzonego celu.

Taki mniej więcej może być plan najbliższej p. Alfreda kampanii.

Cóż ja przeciw temu postawić mogę?

Gdybym był zdrow, gdybym miał środki po temu, puściłbym się w pogoń za nimi, jak król Faraon za żydami, unoszącymi z sobą złote naczynia Egipcyan... starałbym się krzyżować ich drogi, stawać im na wszystkich rozstajnych ścieżkach i walczyć, walczyć do ostatniego oddechu...

Ale dzisiaj, cóż mogę uczynić?..

Porwano, uwieziono ją! A ja nie mogę nawet jęj bronić!

Czy w ten sposób porywa nam świat rzeczywisty najpiękniejsze nasze ideały?

17 września.

Kilka tygodni upłynęło w ciężkim smutku moim. Jedyną moją pociechą jest, że mogę już wyjść z mego więzienia.

Wczoraj wyszedłem po raz pierwszy. Wyszedłem o zmierzchu, jakbym wychodził w tajemnych zamiarach...

Serce mi drżało w piersi, powietrze nie starczyło do oddechu. Dziwny dreszcz przebiegał po mojem ciele, jakbym szedł na spotkanie upragnionęj istoty, która osłonią mgłą nocy, miała mi się ukazać na miejscu umówioném...

Wreszcie przyszedłem...

Otóż i ona!..

Tam w oknie na pierwszém piętrze miga jęj biała sukienka!... Swawolny wiatr porusza nią zalotnie i odsłania

białe ramie!... Jój twarz płonie dziwnym wyrazem, a ciemnoszafirowe oczy palą się jasnym, przejrzystym światłem!... W głębi pokoju cisza, głucha cisza... usłużny wietrzyk przyniesie do mego ucha każdy jój szept, każde słowo miłosne!

Ach, nie! To biała firanka chwieje się w pustém, opuszczoném oknie... to pokrzywiona szyba odbija w połamanych liniach gazowe światła ulicy... a pod oknem stojąca lipa karłowata szepcze do mnie szeptem powiędłych latem liści!

Widziadło znika, a ja stoję przed próżnemi oknami domu, w którym mieszkała Jowita!..

I odszedłem smutny, smutniejszy niżeli byłem przed chwilą!..

Mimo to pójdę jutro, pójdę pojutrze... codzienie pójdę pod te okna!..

Być może, że wyobraźnia moja stworzy mi jeden z tych cudów, nad którym mozola się dotąd uczeni, a który lud prosty objawieniem nazywa!

Może kiedyś z wyobraźni mojej wyjdzie ta upragniona postać i stanie przedemną tam w tém oknie, na pierwszém piętrze, gdzie ta biała firanka, gdzie ta szyba z połamanym światłem?.. Może tak, jak niegdyś gorącym wyznawcom objawiali się święci, objawi mi się Jowita?..

10 października.

Znowu kilka tygodni upłynęło. Ani śladu po nich, gdzie są i co robią! Zdaje mi się, że z umysłu poprzerrywano wszelką korespondencją. Jest tylko wieść, że odbywają różne podróże. Niejakiś czas byli w Ostendzie, ztamtąd wyjechali prawdopodobnie do Włoch.

Ja siedzę jak trapiści w pracowni mojej i pracuję. Praca dosyć mi sporo idzie. Jakkolwiek ból wielki nurtuje w mojem sercu, mam jednak pewien spokój duszy, jakiego dawniej nie miałem.

Dawniej oglądałem się z niepokojem ciągle wkoło siebie, szukając tego co mi świat dać może. Dziś wiem, co on dać może, choć mi to wziął napowrót. Nie pragnę od niego nic więcej, bo więcej nad to, co mi wziął, nic dać mi nie może!...

Jestem podobny do żołnierza, który zraniony krzyczał z bólu w niebogłosy; potem stał się ten ból chronicznym, a żołnierz przyzwyczaił się do niego!...

Są jednak chwile jakiegś dziwniej gorączki. Zdaje mi się, że ją obaczyć muszę, że na jej twarzy ujrzę ten sam uśmiech czarodziejski, jakim maie po raz pierwszy powitała!

Wtedy idę znowu pod to okno z białą firanką... patrzę znowu w te szyby z połamaném światłem latarni gazowych!..

LXII.

JOWITA DO SALOMEI.

30 października.

Od czasu wyjazdu z Drezna, nie pisałam do ciebie kochana siostró moja!

W tych słowach wiele, bardzo wiele się mieści! Gdybyś je umiała dobrze odczytać, wiedziałabyś daleko więcej, niżeli ci napisać chcę i mogę!

Pierwój miałam do czynienia tylko z własnymi marzeniami, dzisiaj nie mogę się opędzić od natłoku różnych wrażeń zewnętrznych, które wszystkie moje siły wyczerpują!

Bawiłyśmy, źle mówię, bawiliśmy (bo i pan Alfred jest z nami) czas krótki w Ostendzie. Ztamąd przejechaliśmy wzdłuż całą Francję, wysiedziawszy się w Paryżu przez cały miesiąc, i zdążyliśmy z końcem października do Bajonne, gdzie marszałkowa miała kontynuować kąpiele morskie. Lekarze kazali jej szukać łagodniejszego klimatu, a tu wiatr zachodni jest daleko przyjemniejszy i wilgotniejszy od północnego w Ostendzie. Od kilku dni jednak bawimy w Pau, gdzie jest pyszny zamek cesarza z widokiem na rozkoszne pasma Pyreneów! Lekarze kazali marszałkowej zaniechać kąpielei morskich.

Wyobrazisz sobie, ile wrażeń, ile dziwnych wzruszeń, przebiegnie przez duszę na takiej przestrzeni!..

Czytałam wiele opisów podróży, czytałam wiele romanów, które podobne koczownicze życie traktują; nie znalazłam jednak w nich nic z tego, czego sama doznaję.

Weź np. jaki instrument, który pod twoją ręką wydaje ci pewne tony, akordy i melodye. Słuchasz je czas niejaki, a potem cofasz rękę, a one milkną. Wyobraź teraz sobie że ten instrument porusza ustawicznie jakaś ręka niewidoma, że wibracya strun nie ustaje ani na chwilę, że z téj wibracyi rodzą się coraz to nowe jakieś tony, niepochwyczone akordy, niedosięgnięte melodye, które w oka mgnieniu giną, aby innym miejsca ustąpić... wyobraź sobie to wszystko dźwięczące ci w uszach twoich nieustannie i dniem i nocą: to będziesz miała wrażenia podróży naszéj!

Mytologia mówi z zachwyceniem o harfie Eola, która poruszana podmuchem powietrza miała ustawicznie wydawać dziwnie rozkoszne tony, które upajały słuchających i wprowadzały ich w sen jak najgłębszy!

Wrażenia podróży, w której widzi się za każdym krokiem arcydzieła ludzkiego geniuszu, mają coś podobnego do téj harfy eolskiej!..

Zaprawdę, zaczynam wierzyć, że zapadam w jakiś sen dziwny, sen twardy, w którym nic się nie śni, nic nie marzy!... Rzeczywistość sama jest tak wielka i rozkoszna, że zużywa wszystkie siły duszy. Gdy się z przed oka usunie, wtedy użycza tylko czasu na wypoczynek. Dla marzeń nie ma ani chwili!..

W takim stanie duszy trudno mi było wziąć pióro do ręki; a nawet wstydziłam się sama siebie gdyby mi przyszło zdać sprawę z tego, o czém dawniej tak szeroko i z takim zapałem pisałam!..

Nie myśl jednak, aby to wszystko we mnie umilkło. Jest ono w głębi duszy, schowane jak relikwia, tylko nie dobywam go ztamtąd codziennie, aby się widokiem jego poić. Świat zewnętrzny zanadto ciśnie mi się przed oczy. Nie mam czasu odetchnąć pełniejszą pierśią.

Gdy się w ten świat rzeczywisty, najczęściej piękny, a zawsze tak rozmaity wpatruję, zaczynam zwolna pojmować, że można się nim zupełnie zadowolnić, a przynajmniej wierzę, że może wszystkie nasze siły spotrzebować w ten sposób, że nam żadnej próżni nie zostawi!

LXIII.

Listopad.

Tu w tém rozkoszném miejscu odetchnęłam trochę swobodniej. Zdaje się, że zatrzymamy się tutaj jeszcze czas niejaki, bo zdrowie marszałkowej nie pozwala na rychłą podróż.

Biédna staruszka patrzy dosyć z rezygnacją na zbliżający się kres życia. Ma dosyć spokojne sumienie i opowiada nam wieczorami z życia swego wiele rzeczy, które świadczą o jój zacnej duszy. Słowa jój odsłaniają mi nowy świat i nowych ludzi, których dotąd nie znałam, albo miałam o nich zupełnie inne wyobrażenie.

Pan Alfred jest bardzo troskliwy o nią. Siedzi przy niej po całych wieczorach nie uważając na powaby życia, które poza widokiem staruszki, roztaczają się przed nim w barwach nader ponętnych. Świadczy to o dobrém jego sercu, bo o interes nie można go tutaj posądzić. Wprawdzie marszałkowa zostawi dosyć ładny majątek, a nawet ciocia sama wspomniała o tém, że nieby nie zawadziło, aby notaryusz za dobrych zmysłów staruszki sporządził testament: ale pan Alfred oparł się temu, utrzymując że wolałby zrzec się wszelkiej nadziei spadkobierstwa, niżeli takim aktem zatruwić ukochaną stryjenkę.

Przyznasz droga Salciu, że to dzisiaj u młodych ludzi, chciwych świata, jest dosyć rzadkim wyjątkiem!

Mimoto marszałkowa ma się coraz gorzej. Pan Alfred mówił, że wrazie niebezpieczeństwa wystarczy ustne jój rozporządzenie przy świadkach.

Przy tak smutnym obrazie, który mimowoli nasunął mi się pod pióro, nie chcę dłużej pozostać, i wolę raczej list na tém zakończyć. Myśl ta smutna zbudziła we mnie jakieś dziwnie piękne uczucie!...

Myślę w téj chwili o was osieroconych!...

LXIV.

Listopad.

W liście twoim ostatnim każesz mi sobie zdać sprawę z tego, czém dusza moja obecnie, bez żadnych wrażeń zewnętrznych żyje. Zaiscie nie małe to zadanie!

Jestem podobną do ucznia, który po skończonym kursie udał się do domu rodzicielskiego na dwumiesięczne ferye. Po feryach skończonych przywożą go do szkoły, a professor zadaje mu pytanie, na czém to właśnie w zeszłym kursie stanął!....

Otoż i ty tak samo zapytujesz mnie!

Jak uczeń ów, naukę całego kursu szkolnego porozrzucił częściowo gdzieś na pięknych błoniach stron rodzinnych, pozostawił pod rozkosznemi drzewami ogrodów owocowych a wreszcie zatopił z niej wiele w kryształowych falach płynącej poza dworem rzeki: tak samo wiele z moich skarbów wewnętrznych popozostawiało po różnych drogach i stacyach malowniczej podróży mojej!... Niektóre utonęły w morzu, inne wziął wiatr północny i poniósł gdzieś ponad fale oceanu; wiele z nich uczepiło się jak jesienna pajęczyna do monumentów Paryża, i zostały na zawsze za mną!...

Nie uwierzysz droga siostró, jakie to dziwne, elektryzujące wrażenie sprawia widok nieustannie pulsującego wielkiego życia. Najsroźszy ból, najboleśniejsza rana musi tu zaciępnąć, bo na ból nie staje się ni czasu!...

Bywało nieraz, po całych dniach patrzałam z okna mego na bulwary w Paryżu. Dziwny jest tu widok. Tysięczne tłumy tłoczą się nieustannie. Wszystkie twarze, oczy, są rozgorączkowane. Jeden ciśnie drugiego, odtrąca na bok, zostawia w tyle, aby tylko sam jak najprędzej stanął u jakiegoś celu!...

Jakież cel mają ci wszyscy ludzie? pytałam nieraz siebie. Cóż ich tak na przód popycha, coż tak przyspiesza ich kroki, rozognia ich twarze i oczy? ..

Droga siostró! Odpowiedź na to wypada zawsze dla mnie nader smutna.

Oto ludzie ci dążą naprzód, aby wziąć to, co im świat rzeczywisty dać może! Ręczę ci, że żaden z nich nie pędzi

za jakąś mrzonką, którą dziś w nocy w duszy swojej wykołysał, że goni za jakimś wielkiem szlachetnem uczuciem, któreby mu na resztę życia wielką, jasną gwiazdą przyświecało.... poprostu, on goni za czémś nadzwyczaj realnem i korzystnem dla siebie!

Może być, że gdzieś tam zdala od tego tłoku, od téj głównej arteryi świata, gdzieś w jakiejs ubocznej, zapomnianej żyłce, bije inne, słabo pulsujące życie, które się żywi bladem światłem gwiazd nocnych i pije chłodny prąd powietrza!.... Być może, że tam gdzieś za temi kolosalnymi murami, albo tam na poddaszu w tych otworach gołębich żyją inni ludzie, są inne warunki i potrzeby życia.... ale to wszystko w obec téj głównej arteryi świata i życia ludzkiego wygląda jakby blade, wątłe, chorobliwe!....

Lepiej, stokroć lepiej, kochana siostró, żyć na brzegach Horyni, i tam prócz siebie, prócz złotych marzeń swoich nic więcej nie widzieć, nic nie znać!...

Zaiste patrząc na te tłumy z twarzą pogodną, uśmiechniętą, które nie pragną nic, coby im świat rzeczywisty dać nie mógł, i które wykwintnemi jego darami zupełnie się zadowalniają.... wrywa się z piersi pytanie: kto lepiej świat i życie pojmuje? Czy oni z pełną, rumianą twarzą z mnóstwem wykwintnych fraszek pod pachą, czy ci zwiędli, blade i wychudli, którzy drżąc od zimna i głodu krocą za tym bladym ognikiem, który Bóg w ich piersi rozdmuchał, krocą co raz słabszym krokiem aż do zimnych progów historyi, która nie mniej zimnym rylcem za całą nagrodę, zapisze na swych kartach ich nazwiska!....

Wierzaj mi droga siostró, nie ma nic boleśniejszego jak los, jakiego doznają na świecie wszelkie ideały! Czasami pod wpływem rzeczywistości tak się zmarszczą i skurczą, że je radzi odrzucamy od siebie, aby tak bolesnego nie mieć wspomnienia!....

Uczą nas, że narody na Północy mieszkające zabijali z litości i pietyzmu starców niedołężnych, którzy sami sobie i społeczności stawali się ciężarami. Inni znowu tracili z miłości rodzicielskiej nowonarodzone, brakiem sił albo kalectwem dotknięte dzieci, z tego samego względu.

Czyby nie lepiej było, abyśmy sami w chwilach zachwycenia, powzięte ideały własną ręką zatracali, zanimby

je świat oziębł i pokurczył? Cóż i tak stanie się z nimi, jeżeli im żyć pozwolimy?

Takie dziwne myśli, droga siostró, nachodzą mnie w ci-
chój, bezwietrznej nocy, gdy wszystko wkoło mnie głębokim
snem spoczywa, a nademną tylko milczące świecą gwiazdy,
rozwieszone nad granitowymi olbrzymami Pyreneów!...

W tych myślach szukaj, tylko ostrożnie, odpowiedzi dla
siebie!....

LXV.

Listopad.

Marszałkowa ma się coraz gorzej. Nic jój nie dolega,
nie się nie skarży, tylko siły żywotne słabną zwolna coraz
więcej, pierś coraz wolniej oddycha!

Pan Alfred robi co może aby ostatnie dni jój osłodzić.
Robimy wycieczki w pobliżkie Pyrenees. Marszałkowa od-
bywa te wycieczki w lektyce. My około niej jedziemy na
mułach, albo pieszo idziemy.

Jest to cudny, czarodziejski kraj ta Hiszpania. Może
jeszcze piękniejszym wydaje się dla nas, że na niego tylko
z wyżyn pyrenejskich patrzymy!

Przychodzi mi przytém dziwna myśl do głowy: czyby
nie lepiej było w życiu naszym, gdybyśmy wymarzywszy
sobie jakie szczęście, nie sięgali śmiałą ręką po to szczęście,
ale tak jak my tutaj na wyżynach pyrenejskich, zatrzymali
się, i tylko zdaleka na to szczęście spojrzeli?....

Gdy Mojżesz powątpiewaniem w moc Bożą zgrzeszył,
nie pozwolił mu Bóg wejść do ziemi obiecanej, tylko dał mu
ją widziéć z dalekiej góry.... Czy Mojżesz nie był może
szczęśliwszym, że tylko zdala ją widział w barwach rozko-
sznych, niżeliby wszedł w sam jój środek i ujrzał bryły ka-
mieni i zgniłe jeziora?...

Gdy wczoraj stałam na najwyższym szczycie, dokąd
tylko z panem Alfredem dostaliśmy się, napawałam się dłu-
go czarodziejskim widokiem, aż mi w końcu łzy się puściły
z oczu i serdecznie płakać zaczęłam.

Pan Alfred zdziwił się i zapytał czy przypadkiem ten widok nie przypominał mi co z wymarzonych ideałów, ja-kiemi karmi się nieustannie serce kobiece.

Otarłam łzy i z uśmiechem odpowiedziałam mu:

— Gdybym kiedykolwiek ideały moje do grobu złożyć miała, tobym je tutaj pochowała!

— A jabym im wystawił pyszny nagrobek z białego marmuru!—odparł z uśmiechem pan Alfred i podał mi ramię do odwrotu, bo ciotka właśnie wołała na nas z doliny.

LXVI.

30 listopada.

Dzień wczorajszy był ważną epoką w życiu mojem. Widziałam jak śmierć wygląda.... jak w obec niej wygląda-ja wszystkie nasze marzenia!...

Zaraz z południa widocznie słabła na siłach marszałkowa. Na naleganie ciotki zdecydował się wreszcie pan Alfred, aby zawołać notariusza.

Smutny jest to epizod w życiu, gdy około łóżka staną ludzie obcy z miną urzędową, aby zapisać ostatnie słowa człowieka, który żyje jeszcze, myśli, czuje, a może nawet i marzy, a już przemawiać musi tak, jakby nigdy nie miał mówić.... Na szczęście trwało to krótko, bo pan Alfred już naprzód wygotował potrzebne w takim razie formularze, aby biédnej stryjence nie zabierać przed zgonem kilka dro-gich chwil ulatającego życia!...

Zmierzch zastał już nas samych, siedzących przy staruszce....

Powoli gasły promienie słońca, które po raz ostatni zeszło nad sędziwą kobietą.... Gwiazdy wytryskiwały je-dna po drugiej z szafirowego nieba, a migocąca lampa roz-lewała w komnacie coraz jaśniej czerwone światło swoje...

Ciotka modliła się z książki. Był także i ksiądz miej-scowy i pomocnik jego Gaskończyk, który opowiadał nam różne swoje przygody przy umarłych...

Po spowiedzi i położeniu oleju św. odetchnęła wolniej staruszka i zażądała spokoju.... Ksiądz odszedł i zostaliśmy tylko sami sami prócz usługującej kobiety.

Nie chcieliśmy przeszkadzać śpiącej staruszce. Siedzieliśmy w głębokim milczeniu.

Około północy westchnęła staruszka, otworzyła oczy i wyszła rękę do mnie wyciągnęła. Zbliżyłam się do niej.

— Dziecko moje—ozwała się urywanym głosem—błogosławie ci. Zważ że życie jest tylko jedno, nie odrzucaj tego co ono ci daje i nie odkładaj w niem nic na jutro. Jutro nie nasze, jutro może być już zapóźno! Każda chwila która ubiegnie bez celu, jest stracona!... Alfred....

Tu głos jój ustał. Ruszały się jeszcze usta, ale już słowa żadnego nie usłyszałam!

Zaraz po północy ustał jój oddech, pierś się zapadła, a lewa ręka zawisa bezwładnie....

Ciotka odprawiła służącą, a myśmy jeszcze wszyscy troje zostali przy nieboszce.

Nikt do nikogo nie mówił ani słowa.

Sama, wielka chwila była wymowna!..

Ciotka czytała modlitwy z książki, pan Alfred siedział opodal z głową ręką podpartą. Ja siedziałam w nogach łóżka, a oparłam się o poręcz fotelu, bo mnie w téj chwili siły fizyczne opuściły.

Umysł mój za to był czynnym w dwójnasób. Tłoczyły mi się dziwne myśli, jakies, niewidziane dotąd rzeczy stawały mi szeregami przed oczyma!..

Dziwne wrażenia sprawia śmierć człowieka! Ale my zazwyczaj widzimy ją w szatach i akcesoryach strasznego jój majestatu! Widzimy trumnę, świece palące się, widzimy kłęby kadzidła jako symbol ulatującej duszy... wreszcie widzimy żałobny pochód, słyszymy płacz lub śpiew żałosny i słyszymy w końcu jak grudki rzucanej ziemi uderzają o wieko spuszczonej do grobu trumny!..

I wtedy powiadamy: nieboszczyk!

Z takimi przyborami zazwyczaj staje śmierć przed nami! Po nich poznajemy ją, widzimy w duchu owiniętą czarnym całunem i wystawiającą do nas trupie oblicze!..

Ta śmierć, na którą w téj chwili patrzyłam, była zupełnie inną. Tamta straszy nas i trwoży, ta patrzy na nas z twarzą uśmiechniętą, uspokojoną!..

Nie jest to śmierć właściwa, jest to dopiero, że tak powiem, przejście z życia do śmierci!...

Patrz na tę staruszkę, leżącą przed nami!... Niema tu jeszcze trumny, ani świec jarzących, niema kadzidla ani pieśni pogrzebowej... a jednak tu już była śmierć...

Tak jest, była... dopiero co wyszła. Jeszcze nie wycisnęła śladów swoich okrutnych, nie zostawiła po sobie tego strasznego napisu, który poeta odczytał w tych dwóch słowach: *Ei fu* (1).

Oto wkoło staruszki są jeszcze wszystkie akcesorya życia. Pod głową leży poduszka ułożona dla wygody śpiącej, głowa pochylona na bok, jakby czegoś przed sobą dożyć chciała; jedna ręka na przykryciu rzucona niedbale, druga więcej ku ziemi zwieszona... Twarz biała, czoło jasne, na którym zdają się przebiegać jeszcze myśli albo marzenia śpiącej...

To nie jest jeszcze śmierć... to tylko życie w tej chwili ustało i zrobiła się jakaś pauza dziwna, nieodgadniona, tęsknotą przejmująca!...

Długo wpatrywałam się w ten dziwny obraz między życiem a śmiercią, a powieki moje powoli przymykały się, jakby jakaś niewidzialna siła ciążyła na nich.

I zbudziły się całą potęgą wszystkie marzenia mego życia!... I przechodziły kolejną około mnie jedne ubrane jak muszki złotoskrzydłe, inne jak bratki i jaskier polny!... I widziałam smutne, jednostajne brzegi Horyni, słyszałam głuchy jęk stepów i oczeretów, tęskną dumę mogił ukraińskich!... Słyszałam gwary pomówek kozackich i dziwny, straszny brzęk stali...

Wszystko to przesunęło się przed memi oczyma i mieszało się razem w jakiś chaos nierozwikłany.

Jasno tylko i wyraźnie stał przedemną obraz leżącej staruszki, obraz śmierci!

I znowu otworzyłam oczy i wpatrywałam się w ten obraz. Cóż ten obraz mówił do mnie?

Ta twarz zmarszczkami okryta mówiła mi, że była kiedyś również jak ja młodą, pełną marzeń i rojeń dziewi-

(1) Był! Początek znaney ody Manzoni'ego na śmierć Napoleona.
P. R.

czych! Ta twarz była kiedyś podziwiana, adorowana!.. Cóż się teraz z wszystkiego zostało? Gdzie są ci, którzy niegdyś przepadali za temi błękitnymi oczyma, za temi złotemi puklami włosów?..

Oto staruszka sama na obcej ziemi usnęła snem wiecznym, otoczona przyjaciółkami, o których gdy była młoda, nawet nie marzyła! Jedyny, najmłodszy jej krewny przymknął jej powieki?

Czémże jest ta marna przestrzeń czasu, która nas dzieli od dnia pierwszego marzenia naszego do pierwszego zimnego uścisku śmierci?

Czyż godzi się dręczyć po nocach bezsennych, czém tę marną przestrzeń czasu wypełnić? Czyż nie jest to nasz egoizm, że chcemy ją zapełnić najwonnieszymi kwiatami?

Kwiaty zwiędną w uścisku śmierci, zostaną tylko dobre owoce życia!

Czyż nie mniejsza o kwiaty, byle tylko owoc był dobry? A sposobności do dobrych owoców nie braknie żadnemu życiu, choćby było najnieszcześniejsze!...

Takie myśli nachodziły mnie na widok śmierci, który przedemną się rozciągał.

Powoli cichły te myśli, a dawne, w głębi duszy złożone marzenia, wydobywały się jedne po drugich!

Stały mi przed oczy pierwsze moje pragnienia! Były one czyste i jasne jak fala zdrojowa! Widziałam przez nie aż na dno duszy i cieszyłam się, że tam nie było żadnych mętów!...

I odżył we mnie jeden z najrozkoszniejszych snów moich! Sen, do którego często i zawsze wracam, bo on jedynie karmił dotąd spragnione serce moje!...

A wiesz ty, kochana siostrze, który to sen?

Jest to ta sama wizja, która przed rokiem prawie odbiła się w nocy miesięcznej na białych arabeskach franki!.. Jest to ta sama postać, którą wtedy widziałam, postać idąca pod jakąś górę z szatą w tył rozwianą!..

Mój Boże! Rumieniec okrył w tej chwili twarz moją gdy to pisałem. Słyszę głos pytający: Cóż uczyniła z tą wizją, z tym snem złotym?..

Nic nie uczyniłam, kochana siostró. Pozostał tém, czém był: snem, wizyą!..

Straszna, okrutna jest ta rzeczywistość! Przy zetknięciu się z nią bladną, nikną wszystkie sny nasze!..

I mój sen zbladł, mocno zbladł!..

Gdym właśnie o nim marzyła, zdawało mi się nagle że widzę tę samą wizję, która wtedy na białych szybach okna narysowała się...

Przypominam sobie dobrze, że miałam oczy otwarte. Widziałam w głębi twarz pomarszczoną nieboszki, widziałam jęj rękę ku ziemi spuszczoną...

Mimoto jednak postać owęj wizyi zbliżała się do mnie coraz więcej. Teraz nawet mogłam lepiej widzieć twarz jego, niżeli owęj nocy przed rokiem!... Widziałam twarz dobrze mi znajomą...

Był smutny i blady, jakby wstał po długiej chorobie.

Nieugaszoném pragnieniem serca przyciągałam go z wolna do siebie... pozwoliłam mu oprzeć się o moje ramiona... i uczułam na ustach gorący, rozkoszny pocałunek!

Kochana siostró! To był pożegnalny pocałunek mego ideału!

Otworzyłam oczy. Przedemną stał pan Alfred i trzymał mnie za rękę.

— Może się uda pani na spoczynek? — rzekł do mnie — zostawmy śmierci, co się jęj należy!

— Zostawmy za sobą co już żyć przestało — dodałam bez myśli, i wzięłam podane ramię pana Alfreda!

LXVII.

STEFAN DO NIEZNAJOMEGO.

10 grudnia.

Dziwne rzeczy mam dzisiaj dla ciebie, drogi przyjacielu!

Pierwszy śnieg, który dzisiaj upadł odżywił we mnie rozkoszny sen mego życia. Na takim tle ujrzałem ją przecież po raz pierwszy!..

Wspomnienie to skierowało mimowoli kroki moje pod to okno, do którego odbywam najmiłsze pielgrzymki moje, jak muzułmanin do Mekki!

Zastałem dzisiaj w tych oknach jakiś ruch nadzwyczajny.
Dowiaduję się, że przyjada!

Wiadomość ta, zamiast mnie ucieszyć, nabawiła mnie dziwnym smutkiem.

Czy to jest zwykła trwoga przed każdą chwilą stanowczą, czy jakie złowrogie przecucie, które widzi w najbliższej przyszłości coś bardzo smutnego!..

Czuję obawę i smutek i gotuję się na najgorsze. Zresztą, jakikolwiek cios mnie trafi, trafi w ranę już tak obolałą, że jej boleści więcej nie doda!

Przyzwyczaiłem się w ciągu czasu do największej boleści któraby mnie trafić mogła. Podobny jestem do skazańca, który widzi przed sobą kata i wierzy w śmierć swoją, a jednak gdzieś tam w głębi duszy tli jakaś mała iskierka nadziei!..

Otóż ta mała iskierka tylko niepoki i trwoży mnie w tej chwili, bo po tém, com dotąd słyszał i mógł się domyślić, jestem pewny smutnego wyroku!..

12 grudnia.

Bóg czuwał nademną, że mi zwolna, choć boleśnie, odbierał nadzieję. Tak jest, drogi przyjacielu, moje nadzieje są dzisiaj ostatecznie pogrzebane!

Dowiedziałem się od Nereusza, że rzecz trzeba uważać za dokonaną. Jowita zgadza się z życzeniem familii i oddaje rękę panu Alfredowi, spadkobiercy nieboszki marszałkowej.

Więc koniec!

Przyznam ci się, że jest w tém słowie rodzaj jakiś rozkoszy cichój, spokojnej!

Koniec, to strzał, który za sobą zaraz ma kulę... to zapadnięcie kurtyny przy łzawym dramacie... to ostatni koziołek spadłego z liny pajaca... to ostatni oddech umierającego na polu żołnierza!..

Zawsze jednak jest to coś dobrego, bo ludzie mówią: „dobrze, że się już skończyło!“...

Nie czuję żalu do nikogo, chyba tylko do tej biednej abstrakcyi, na którą wszyscy się uskarżają, do tego brzydkiego świata, który ugrząsłszy zaraz po potopie w pozostałym błocie, dotąd w niém grzęźnie!.. Cóż bowiem w obec tej

zbiorowej potęgi poradzi jeden człowiek, chociażby miał duszę najszlachetniejszą, serce najwznioślejsze?..

Jeżeli więc rzeczywiście jest koniec, to przyjmuję go z rezygnacją...

Ale do końca brakuje mi jeszcze jednej rzeczy.

Muszę ją obaczyć!

15 grudnia.

Dzisiaj w południe siedziałem przed moją sztalugą i szkicowałem na płótnie nowy pomysł do obrazu. Bolesć mojej duszy jakoś dziwnie jest produkcyjną. Cisną mi się do głowy najrozmaitsze plany

Otóż wchodzi do mnie... zgadnij kto!.. pan Alfred!

W pierwszej chwili nie umiałem dla siebie wybrać żadnej roli. Adwersarz mój, który całe szczęście moje wziął mi z przed oczu moich, przychodzi do mnie, z grzecznym, gładkim uśmiechem...

Gdybym zamiast palety miał broń nabitą w rękę, możebym bez żadnej myśli, tylko prostym wiedziony instynktem, w łeb mu palnął!

— Spodziewam się—rzekł do mnie—że po wojnie nie ma już nieprzyjaciół!

Zmierzyłem go wzrokiem pogardy, chociaż téj pogardy nie mogłem niczem umotywować. Bo cóż on właściwie zawinił, że był szczęśliwszym odemnie, że urodził się w lepszych odemnie warunkach, aby temu szkaradnemu światu zadość uczynić?...

— Nie wiem — odpowiedziałem z chmurą na czole — jakiej broni używałś pan w téj wojnie!

Jest broń i są pociski wzbronione nawet w wojnie, prawami narodów...

— Najlepiej na to odpowie panu ta osoba, w której imieniu przychodzi!—odpowiedział spokojnie.

— Nie rozumiem pana -- rzekłem zadziwiony.

— Panna Jowita przysyła mnie z bardzo gorącą prośbą!

— Z jaką prośbą?

— Abyś pan temi dniami chciał wymalować jój portret!

— Portret?—powtórzyłem machinalnie, bo z zadziwienia nie mogłem przyjść do siebie.

— Tak jest, portret—odparł spokojnie pan Alfred—chce mieć tę pamiątkę od pana!...

Stałem długi czas w najwyższém zadziwieniu.

— I ja do jój prośby dołączam moją!—dodał pan Alfred z grzecznością człowieka światowego.

— Portret?—powtarzałem raz po raz bezmyślnie.

— I jeżeli łaska—zakończył pan Alfred—ciotka i Jowita zapraszają pana dzisiaj na herbatę!

Jeszcze dobrze myśli moich pozbierać nie mogłem, gdy pan Alfred wyciągnął do mnie rękę i rzekł:

— Wypełniwszy rozkazy nie zabieram panu drogiego czasu! Człowiek wyższego talentu odpowiedzialny jest za każdą marnie straconą chwilę....

Bez myśli, machinalnie podałem mu rękę. Po długiej chwili poznałem dopiero, że sam jestem....

Rzuciłem się na krzesło i zacząłem powoli rozmyślać nad tém dziwném zdarzeniem.

Co to wszystko znaczy? Dlaczego mówił pan Alfred, że ona sama mi odpowie? Cóż znaczy ten portret? Dlaczego zaproszono mnie dzisiaj na herbatę?

Były to pytania, na które odpowiedzieć nie umiałem! Najbardziej tentujące było ostatnie. Obaczyć dzisiaj Jowitę, sama myśl jest już rozkoszą!

Ale jakże stanąć przed nią? Czy raczej jakże ona przedemną stanie? Czy w samém spojrzeniu mojem nie wyczyta bolesnego zapytania, nie uczuje srogiego wyrzutu?...

Bądź co bądź, pójdę. Nie zamieniliśmy między sobą pierścionków, ani nawet żadne oficjalne słowo nie stoi między nami!... A to, co serca sobie mówiły.... czyż to obowiązuje?

Możemy rozmawiać grzecznie, a nawet dowcipnie, jakbyśmy byli sobie najobojętniejszymi!

Czyż to nie dzieje się często w świecie nawet między tymi, którzy oficjalnie sformułowali sobie uczucia swoje?...

Godzina 1 po północy.

Kończę list przerwany. Byłem na herbacie u ciotki Jowity.

Jowita wygląda cudownie!....

Zbladła, przychudła, spoważniała....

W jej twarzy jest rys nowy, którego dawniej nie było: jest to rys bólu i przeżytych cierpień....

Mówiła ze mną wiele, ale dosyć zimno i obojętnie. Mówiła zawsze przy świadkach. Była nadzwyczaj grzeczną i uprzedzającą jak dawna, wypróbowana przyjaciółka, która już inną być nie może; ale nie była ową czujną, wiecznie trwożliwą dziewczicą, która zakrywa rumieniec i maskuje szybsze uderzenia serca....

O portret koniecznie nalega, czekam ją jutro w mojej pracowni z ciotką!

Koniec grudnia.

Przed kilkoma dniami o godzinie jedenastej weszła do mnie Jowita z ciotką.

Zrzuciła płaszcz swój, zadziwiłem się!

Była dziwnie ubrana. Miała ubiór długi, fałdzisty, lekko na biodrach ściągnięty, podobny do ubioru z okolic Rzymu. Włosy również podobnie miała utrefione z małym, białym, prawie zwiedłym kwiatkiem niedbale zwieszonym nad uchem.... Na twarzy miała wyraz dziwny, chorobliwy. Usta przybladłe ścisnęła jakby z bólu, którego zdradzać nie chciała, a na czole błyszczał majestat nieugiętej woli i rezygnacji.

Uśmiechnęła się smutno widząc moje zadziwienie, a korystając z zatrudnienia ciotki rzekła do mnie:

— Czy tak dobrze będzie?

Po tych słowach spojrzała z uśmiechem na szkic mój „przed sądem” i zaczęła pozować na sposób postawy owiej Rzymianki...

Teraz dopiero odgadłem ją!.... Ona chciała pozować jako model!....

Opuściłem pędzle i paletę i spojrzałem rozrzucony w te cudowne, szafirowe oczy, tak jak dawniej patrzyłem...

Zrozumiała to spojrzenie. Trzymała w ręku kwiatek. Teraz oskubała z niego listki a okazując mi nagą łodygę wyszepnęła niby do siebie:

— Tyle mam tylko dzisiaj!

I westchnęła.

— Może lepiej będzie żebyś usiadła — ozwała się ciocia.

— Nie, ciociu, ja tak stać będę — odparła smutno i stanęła w pozie Rzymianki w moim szkicu!...

Dwa dni malowałem. Ciotka była zawsze przy nas. Nie wyobrażasz sobie ile bogactwa miałem w tej twarzy!...

Gdy ciotka przeglądaniem drobnych studyów zajęta była rzekłem do niej:

— Chciój mi pani wytłumaczyć ten dziwny wyraz na swojej twarzy, którego dawniej nie było...

— Czyś pan nie kontent z swego modelu? — zapytała z smutnym uśmiechem. Jakiż inny wyraz może mieć Rzymianka w przededniu strasznego wyroku, co ją czeka?...

Obaczyłem łzy w jej oczach.

— Czy ten wyrok jest rzeczywiście tak straszny? — zapytałem.

— Jeżeli przychodzi rozstać się z tém, czém się serce karmi!

— Gdybym wiedział, że ten wyrok narzucony — podjąłem skwapliwie!

— Nie, panie — szybko przerwała — to dobrowolny wybór!

Po tych słowach spoważniała i przybrała wyraz tak spokojny jakby była z marmuru.

Rzeczywiście, tylko tak mogła stać Rzymianka „przed sądem Nerona“!..

Malowałem dalej...

Byłem w tej chwili tylko artystą...

Poświęciłem sztuce wszystko, co miałem najdroższego!..

W kilka dni, gdy właśnie z wykończonego już portretu kopję dla mego obrazu zdejmowałem, wszedł do mnie mój brat Wacław. Był wykwintnie ubrany i miał twarz rozpromienioną.

Po przywitaniu się rzekł do mnie:

— Cóż! czy ożenisz się z szwajcarką? Czterykroć stotysięcy franków, to nie fraszka!

— Wziąłem to za żart z twojej strony— odpowiedziałem smutno.

— A ja myślałem, że wyprawimy dwa wesela równocześnie!

— Dwa wesela? Jakie dwa wesela?

— Bo ja się żenię! Patrz, oto pierścionek mojej narzeczonej a to portret jej!

Na pierścionku były litery i data. Dalej „memu Wacławowi“. Fotografia okazywała młodą, piękną, z nadzwyczajną elegancją ubraną kobietę.

Zdziwiłem się mocno. Wacław patrzył na mnie rozpromieniony jak zwycięzca.

— Któż jest ta osoba?—zapytałem po chwili.

— Podolanka, z bardzo dobrego domu: ma dwakroć.

— Zlituj się! Gdzieś ją poznał? Jakim sposobem ją uchwyciłeś?

— Poznałem ją w kąpielach zagranicznych, a uchwyciłem moją własną filozofią, moim często przez ciebie wyśmianym systemem filozoficznym!...

— Jakaż to filozofia?

— Nic nie robić na świecie, zaciągać długi gdzie można, starać się o zewnętrzny blichtr, nie gardzić żadnym środkiem, którym fortunka do nas uśmiechać się może, a na wędkę wydawać pieniądze, jakbyśmy mieli szkatułę nie wyczerpaną!... *Mundus vult decipi*, mawiał dawny nasz ksiądz proboszcz!...

Zadumałem się głęboko: bolesne uczucie ścisnęło mi serce.

— Ale ty mi nic nie mówisz o sobie—podjął po chwili Wacław. Ja jednak o wszystkiém słyszałem! Szkoda, wielka szkoda, że ci się nie poszczęściło! Ma być bardzo ładna i bogata! Szkoda!

Wskazałem na jej portret. Wacław wpatrywał się długo i nie mógł słów znaleźć unosząc się nad pięknością portretu. Potém zamyślił się, i zaczął chodzić po pokoju.

— Źle, bardzo źle zrobiłeś!—mówił do mnie z politowaniem—mówiłem ci, nie trzeba się chwytąć żadnej roboty!

Kto tylko co robi i to za pieniądze, ten już przepadł w tej mierze u nas w oczach pewnej warstwy!.. Po co ci było malować obrazy?.. Mogłeś się podobać i tak, i szczęście zrobić!.. Najgorzejś sobie zaszkodził, żeś kilka obrazów swoich tu sprzedawał!..

— Pieniądze za nie posłałem tobie, gdyś był w niebezpieczeństwie życia! — odrzekłem z boleścią.

— Toś źle zrobił! Lepiej było te kilkadziesiąt franków pożyczyć u jakiego głupca, który jeszcze wierzy, że pożyczone pieniądze oddają się, jak za dobrych, patryarchalnych czasów!..

Zamyśliłem się głęboko nad tą dziwną filozofią życia, której jednak lepiej powodzi się od mojej!..

Ale po chwili wyprostowałem się i zdawało mi się, że w całym nieszczęściu mojem jestem wyższy od tych szczęśliwców o całe niebo!..

A nawet w sercu w tej chwili nie zazdrościłem im tego szczęścia!..

Brat mój chodził ciągle po pokoju jakby nad czémś przemyślał. Wreszcie stanął i ozwał się:

— Sądzę, że sprawy nie powinieneś uważać za przegraną. Ładna i bogata. To rzadko się trafia. Trzeba o nią jeszcze walczyć!.. Mogę ci nawet podać broń wyborną!

Więcej z ciekawości niżeli w rzeczywistym zamiarze podjęcia walki spojrzałem na Wacława z zapytaniem.

— Z Alfredem — mówił tenże — byliśmy w różnych stosunkach. W pewnym względzie postąpił on sobie, między nami dosyć hazardownie. Mam na to list jego jako dokument. List ten kosztował go wiele. Mogę dla ciebie zrobić ofiarę. Masz go tutaj. Idź i okaż go pannie, a rzecz może się rozerwać....

Z ciekawości wziąłem list i zacząłem czytać.

Smutno, bardzo smutno mi było. List ten traktował nader brzydką, brudną sprawę. Rzuciła ona haniebną światłość na charakter narzeczonego Jowity. Odsłaniał go z tej strony, o jakiej nawet wyobrażenia nie mogła mieć biedna narzeczoną!.. List ten mógł rzeczywiście wszystko rozerwać!..

Nie umiem opisać, jakie uczucie owładnęło mnie w tej chwili. Czy to była czysta, beziinteresowna obawa o los niewinnej kobiety, która o szczęściu marzyła, czy wrodzone sercu naszemu pragnienie, aby odebrać to, co niejako już jego własnością było; czy wreszcie ukryta żąda zemsty i piekielnej zazdrości, aby wśród gotującego się wesela z szyderskim krzykiem wpaść między biesiadników i roztluc im przytknięte do ust puhary?... Nie wiem! Dosyć, że postanowiłem w tej chwili zrobić użytek z tego listu i natychmiast udałem się do Jowity...

Na korytarzu zastałem różne paki. Przedpokój był otworzony. Leżały tam także paki. Wnosiłem ztąd, że mieszkańcy gotują się do odjazdu...

Z przedpokoju prowadziły do salonu drzwi szklanne. Dawniej były osłonięte białą firanką. Dzisiaj już tej firanki nie było. Zajrzałem przez szyby do salonu...

W głębi salonu obaczyłem dwie postacie: była to Jowita i Alfred.

Alfred siedział i przewracał w jakimś albumie a Jowita stała przy nim i ręką jedną dotykała się jego ramienia....

Był to cudowny obraz. Zdawało mi się że widzę anioła-stróża około grzesznego człowieka....

I dziwne uczucie owładnęło mnie. Zapytałem sam siebie:

W jakim celu przyszedłem tutaj? Czy broń, jakiej chcę użyć jest szlachetna? Jakiż będzie jej skutek? Czy Jowita weźmie to za przysługę przyjaciela, czy za poziomą zemstę? Na cóżby jej ta przysługa się przydała? Wszak wybrała sama, miała zapewne ważne do tego powody. Może nie chciała widzieć ciemniejszej strony, może widziała i pobłążyła?... A gdyby nawet list ten rozerwał wszystko, czyż niemożnaby mnie wtedy posądzić o pobudki egoistyczne?...

Stałem niejakiś czas w ciemnym przedpokoju i zdawało mi się, że już żywym nie wyjdę, że skamienieję w posąg kamienny!...

Wreszcie odetchnąłem głęboko, a myśl jaśniejsza błysła mi przed oczyma. Rzekłem do siebie:

— Nie, tych dwojga ludzi nie mogę rozerwać w ten sposób. Byłby to sposób nieszlachetny. A zresztą, któż może odgadnąć, dlaczego właśnie takimi drogami prowadzi Bóg ludzi z idealniejszém pragnieniem duszy? Może właśnie ten brzydki człowiek potrzebował tak idealnej kobiety, aby go choć trochę z jęgo błota podniosła?....

.....Czy go podniesie do swoich wyżyn, czy razem z nim upadnie?... to właśnie należy do dalszej historyi jęj życia!....

.....W najlepszym razie, będzie to zawsze piękna, wzniósła—tragedya!...

.....Będzie to walka dobrego ze złem...

.....Świat zły to *fatum* starożytne dla każdego ideału!

.....Upadający pod brzemieniem walki bohater upada, ale z wieniec na głowie!

Odszedłem z przedpokoju, list podarłem i rzuciłem na schody!

Za dwa dni wyjechała ciotka z Jowitą do Horynina. Tam ma się odbyć wesele.

Pan Alfred dla różnych sprawunków wyjechał do Paryża.

Na drugi dzień otrzymałem pocztą list z pieniędzmi. Było paraset talarów. Otworzyłem i przeczytałem podpis ciotki Jowity. List był grzeczny, pieniądze za portret!

Nie było w tém nic dziwnego, jednak był to dla mnie cios najboleśniejszy!...

Pojałem, czém właściwie dla świata poziomego jestem! Czy może być inaczej?...

Pieniądze za portret Jowity pały mnie. Był to cios wymierzony w drogi mój ideał!...

Lecz któż w tém winien?... Nie, tu nikt nie winien, winę weźmie chyba na siebie znowu ta okrzyczana tyle razy abstrakcja, którą „światem” nazywamy!...

Wyszedłem na ulicę. Chciałem rozerwać umysł mój zachmurzony.

Spotyka mnie jakiś biedny człowiek. Ręce drżą mu od zimna, w oczach ma łzy.

— Panie—woła na mnie zdaleka—pan znasz zapewne pana Alfreda,*** widziałem go z panem!

— Na cóż panu téj wiadomości?—zapytałem.

— Odjechał, uciekł po prostu, a ja mu dałem jedyne moje pieniądze! Mam pięcioro dzieci, jestem nieszczęśliwy!... Stałem na chwilę przy biednym niemcu a myśl dziwna przyszła mi do głowy.

— Masz skrypt?—zapytałem.

— Nie, panie, list tylko!—odpowiedział z rozpaczą.

Wstąpiłem do cukierni, przeczytałem list, sprawdziłem podpis, wypłaciłem Niemcowi i kazałem na liście zakwitować.

Teraz odetchnąłem swobodnie. Pozbyłem się pieniędzy, które mnie piekły. Pochodziły one z tego samego źródła, na którym ciążył także ten dług listowy!...

Za dwa tygodnie porzucę to miasto, w którym odbył się mój pierwszy i ostatni romans w sposób tak dziwny!... Wyjadę do Paryża.

LXVIII

Paryż, 20 stycznia.

Za list twój i za pociechę przyjacielską serdecznie ci dziękuję. Uspokoilem się, tylko czasem mi przykro, gdy się ludzie około mnie za wiele śmieją... Czuje, że w głębi duszy tkwi jakiś cierń, ale nie przeszkadza mi w codziennéj pracy mojej. Pracuję wiele. Obraz mój „Przed Sądem” bardzo mi się podoba!...

Słusznie mówisz, że boleść życia wydaje dobre owoce. Być może, że każdy talent potrzebuje takiej boleści życia, jaką przejmowali się pierwsi wyznawcy Chrystusa, tworząc dzieła wiekopomne...

Nie rozumiem pod tém ascetyzmu, który tylko duszę ziębi i serce wysusza, ale pewną rozsądną powściągliwość od świata zewnętrznego, która nam siły nasze wykrada!...

Otóż ten spokój, tak potrzebny do tworzenia, mam dzisiaj. Do świata nie przychodzę z żadną gorączką, nie pragnę od niego tego, co mi odebrał, a jedyném szczęściem mojem będzie, jeśli z mojej zranionej duszy wysnuję i dam mu to, czego on nie ma!...

Wczoraj byłem w *bois de Bulogne*. Dzień był piękny. Mnóstwo ekwipażów przesuwano się przedemną.

Jeden ekwipażyk zwrócił uwagę moich towarzyszy. Młody człowiek siedział w nim z jakąś damą, dosyć excentrycznie ubraną.

— Ach! — zawołał mój towarzysz — pan Alfred i Mlle Caelestine!

— Czy wiesz gdzie mieszka pan Alfred — zapytałem skwapliwie.

— *Hôtel de Louvre!*

Nazajutrz zapukałem do drzwi pana Alfreda.

— Mam panu to oddać — rzekłem podając mu list jego z pokwitowaniem kilkustu talarów.

Pan Alfred przeczytał i zaczerwienił się.

— Czy mogę zapytać — ozwał się nieśmiało — z jakiego źródła były te oddane pieniądze?

— Z tego samego co i posag panny Jowity. Miałem je od ciotki.

Pan Alfred zarumienił się jeszcze więcej. Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Nie objął jeszcze myślą tego faktu, a lękał się czegoś, co mogło być poza tém...

— Kiedy pan odjeżdżasz do Horynina — zapytałem chłodno.

Patrzył na mnie chwilę i odrzekł:

— Jutro!

Nazajutrz przechodząc około hotelu zapytałem o pana Alfreda:

Wyjechał rzeczywiście.

Listopad. 1868.

